

Biblioteka
Instytutu Badań
Lingwistycznych PAN

P. II. 428

NURT

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE POLSKIEJ



Rok II, Nr. II (VIII)
MARZEC — KWIECIEŃ

1944

<http://rcin.org.pl>

Cena egzemplarza 10 zł.

TREŚĆ:

1. MŁODZI CZY DOJRZALI ?
2. POLSKO - UKRAIŃSKIE ZWIĄZKI KULTURALNE
3. ZMARTWYCHWSTANIE (Wiersz)
4. CZASU JUTRZENNEGO
5. NA BEZDROŻACH MITOLOGIZMU
6. SPOJRZENIA :
 - a) „Taka to i wolność”
 - b) Kulturregerzy w Krzemieńcu
 - c) W kraju góralów
 - d) Nadworny poeta
 - e) Rasizm
 - f) Fredro
 - g) Katyń
 - h) Wspomnienie i komentarz



NURT

PISMO POŚWIĘCONE
KULTURZE POLSKIEJ

Rok II

Marzec — Kwiecień 1944

№ 2 (8)

MŁODZI CZY DOJRZALI ?

Pytanie czy naród polski jest młody, stary czy dojrzały jest w opinii Polaków rozstrzygnięte bezapelacyjnie. Jesteśmy młodzi. Twierdzenie to ma przytym wydzwięk optymistyczny, rażny, zachowawcy. Na czym jednak polega trudno powiedzieć. Młodość, jeżeli chodzi o życie jednostki, jest pono przejawem życia, polegającym zarówno na pewnym, wymiernym okresie rozwoju, jak i na samopoczuciu. Energia, sprawność, żywotność, w późnym nawet wieku, bywają często pomieniane z młodością. Człowiek młody znaczy w tym wypadku tyle, co człowiek dzielny. Czasami jednak także i tyle, co człowiek nierozważny lub poprostu głupi. Głupotę wybacza się rzecz jasna młodości łatwiej, niż wieki dojrzałemu.

Czynniki te w najgrubszych zarysach możnaby również zastosować do młodości, względnie starości narodów. Ale tylko w najgrubszych zarysach. Nie ma przecież żadnej wymiernej i stałej skali czasu, którąby można określić biologiczny wymiar życia narodu. Naród chiński, pono bardzo stary, istnieje kilka tysięcy lat i nie zdradza żadnych znamion biologicznej degeneracji. Naród francuski, w zestawieniu z chińczykami młodziutki, w opinii świata stary, biologicznie zamierający — zamyka swe dzieje w kilkunastu wiekach. My, uchodząc za młodych, trwamy w młodości jedenaście wieków i co dziwniejsze, gotowiliśmy twierdzić, iż był czas, kiedyśmy byli dojrzałsi niż dziś.

Wysuwa się tu zaraz poważna wątpliwość. Każdy naród, nim stał się narodem, istniał przecież biologicznie jako plemię, rasa, czy też jako mieszanina plemion i ras. W ten sposób wszystkie narody, acz niejednakowo stare, są jednakowo dawne, gdyż sięgają wstecz, aż do początków rodzaju ludzkiego. W świecie fizycznym niema chwili urodzin narodu, jak u jednostki. Istnieją one tylko w świecie duchowym, w świecie kultury. Jest wszakże i fizyczne zjawisko śmierci narodów. Lecz i w tym wypadku byłoby niezmiernie trudno udowodnić, że jakiś naród umarł poprostu ze starości. Wyniszczenie narodów, tak, jak o tym mówi historia, występowało zawsze na skutek zetknięcia z obcą dla siebie, „śmiertelną” kulturą. Tak było pono z Tasmańczykami, Aztekami, tak dzieje się z Indianami w Ameryce.

Trudności zatym w określeniu wieku narodu są liczne i wielkie a zastosowanie do niego jakiegokolwiek ścisłej metody, niemal beznadziejne. Do pewnych wyników można jednakże dojść rzutując życie narodu na tło pokrewnych mu rasowo i kul-

turalnie narodowych zespołów. Jeżeli więc chodzi o Polskę, to pewnym sprawdzianem jej rozwojowej fazy może być porównanie z Europą.

W tych warunkach nie trzeba pozornie wielu dowodów, iż jesteśmy rzeczywiście młodzi. W procesy kulturalne, formujące oblicze materialne i duchowe Europy, weszliśmy późno. Przyjęcie chrześcijaństwa, odbyło się u nas w kilka wieków po Zachodzie a nawet w tyle za niektórymi narodami wschodnio europejskimi. Fakt ten jest historyczną podstawą naszego przekonania o młodości polskiego narodu. Przekonywujący przez swą bezsporność i prostotę, całej sprawy jednak nie rozstrzyga. Chcąc wysnuć bowiem z niego optymistyczny horoskop trzeba założyć, że naród taki, jak Polska, spóźniony w swoim rozwoju historycznym i pozbawiony całości przeżyć narastającej kultury, tylko wtedy zachowuje korzyści biologicznej świeżości, jeżeli jest wstanie odrobić zaległości kulturalne i cywilizacyjne. Musi zatym przez pewien okres swej historii żyć energiczniej i bardziej intensywnie od innych, którzy są już dojrzałi i mają nad nim przewagę dojrzałości. Żaden historyczny zryw, ani piastowski, ani jagielloński nie dał nam tego wyrównania. Jeżeli dopiero w XIX-stym wieku wybrana warstwa inteligencji osiąga jakie takie zrównanie z Europą to jednak niedorozwój warstw średnich i zacofanie ludu paraliżuje w dużej mierze osiągnięte dzieło. Nie ma żadnej podstawy do przypuszczeń, że, w chwili gdy zacznie się wyłaniać jakiś nowy porządek rzeczy, polegający na zlikwidowaniu burżuazji i gruntownem przeorganizowaniu warstwy chłopskiej, w kierunku nowocześniejszych teorii o socjalistycznym państwie pracy — zaległość ta zostanie poprostu przeskoczona. W tej czy innej formie wniknie ona bowiem i w nowy ustrój.

Młodość nie daje żadnych przywilejów w tym względzie. Po pewnym okresie dziejów nie jest już niczym, co przynosi zaszczyt. Biorąc zatym rzecz historycznie nie ma żadnej pewności czy naród polski jest narodem młodym czy też tylko spóźnionym.

Silniej natomiast przedstawia się argument drugi za młodością narodu polskiego: biologiczny. Niewątpliwie: wytrzymłość, plenność, żywotność narodu polskiego jest zjawiskiem wyjątkowym. To, co naród polski rozrzucił, przefrymarczył, stracił w ciągu swojej historii, bez uszczerbku dla swej woli istnienia, da się wytlomaczyć jedynie ogromnym zasobem żywotnych sił. Nieustannie odradza się, zarówno samej masy ludzkiej, jak i wyto-

nionych z niej wyższych warstw, jest tym bardziej zastanawiające, iż występuje najsilniej w okresie historycznych klęsk. W żadnym okresie swoich dziejów burzliwych i obfitych w katastrofy nie wykazuje naród polski oznak wyczerpania, ani zmęczenia. W każdej sytuacji żyje bujnie, bez rachunku, lekkomyślnie, po wielkopańsku. Braki swe i straty uzupełnia samorzutnie, rodząc nietylko liczne, ale i wciąż jednak żywotne pokolenia. Nigdy też nie dochodzi do „opamiętania” w obliczu klęsk i pozostaje głuchy na wywoływania kazondziejów swoich i obcych.

Nie ma chyba narodu w Europie, który by przeszedł tak systematyczny upust najcięższej krwi, jakim było zniszczenie kilku kolejnych po sobie pokoleń szlachty polskiej w insurekcjach barskiej i kościuszkowskiej, napoleońskiej, listopadowej i styczniowej. Klęski wojenne i egzekucyjne, emigracja dobrowolna na Zachód i sсыłka na Sybir, konfiskaty mienia, zdawały się łożyć ostateczny kres tej warstwie narodu. A jednak Polska roji się nadal od szlachty i nic nie wskazuje, aby warstwa ta wyczerpała się biologicznie lub nawet stała się ostrożniejsza w szafowaniu swymi siłami. Po drugiej stronie społecznej mamy równie niszczące zjawisko olbrzymiej emigracji ludu wiejskiego na Zachód i za Ocean. Wieś polska pomimo tego pozostaje nadal przeludnioną i stanowi rezerwoar etniczno — kolonizacyjny o niezmiernie obiecującej sile. Żadne doświadczenia klęskowe nie wywołują ni tu ni tam oznak duchowej pokory. Nawet słynne polskie „jakoś to będzie”, choć godne zaiste potępienia, nie ma w sobie żadnego znaczenia rezygnacji, ani pogodzenia się z każdymi warunkami życia. „Jakoś to będzie”, znaczy w ustach polaka, że go nic nie zmoże, takim jakim jest i jakim być pragnie. Trzeba przyznać, że historia, jeżeli chodzi o najgrubsze podstawy narodowego bytu, nie kładzie kłamu temu przekonaniu.

Młodość zatem polskiego narodu, pojęta jako żywotność, wytrzymuje już lepiej próbę krytyczną, niż młodość historyczna. W ostatnich czasach znalazł się nawet i dowód cyfrowy o dużej sile, w postaci niezwyklego, na tle europejskim nawet wyjątkowego, przyrostu ludności. 1, 2 pro mille rocznie dla Polski, w zestawieniu z 0 dla Francji, 0,2 dla Anglii, 0,8 dla Niemiec, 0,6 dla Czech, 0,9 dla Rumunii, skłania bardziej przekonywująco, niż wszystko inne do optymistycznej oceny roli, jaką „młody” naród polski powinien odegrać w „starej” czy „starzejącej się” Europie. Niewątpliwie! Zagadnienie przyrostu wysuwa się na czoło problematów zachodnich i nie ma większego niebezpieczeństwa dla Europy, jak właśnie powolne zamieranie jej biologicznej płodności. Polska, i jej współczesny przyrost, nie tylko jeszcze „normalny”, ale wręcz „dynamicznie” duży, daje polakom słuszny powód do zaufania we własne siły, tymbardziej, że ma za sobą wypróbowane już przykłady podnoszenia się na tej podstawie ze wszystkich klęsk.

A jednak należy stanowczo przestrzec przed zbyt pośpiesznymi wnioskami na tej podstawie. Wysoki przyrost naturalny w obecnej chwili i w obecnym stanie kulturalnego rozwoju Polski może być tylko warunkowym sprawdzianem przyszłości i wszelkie cyfrowe spekulacje, że Polska za lat 10 będzie miała tyle ludności, co Francja a za lat pięćdziesiąt czy sto, tyle co Niemcy, są tylko zbożnym i naiwnym życzeniem, zakładają bowiem, że

masa ludowa która jest właśnie żywiołowym producentem nowych pokoleń, pozostanie na tym samym stopniu rozwojowym, co dziś. Cechą przecież charakterystyczną kultury zachodniej, w krytycznym dla niej XX wieku, jest właśnie spadek przyrostu, jako rezultat wysokiej, choć spacznej świadomości kulturalnej i cywilizacyjnej. Duży przyrost naturalny łączy się naodwrot z kulturalnym prymitywizmem i ustępuje w miarę, jak życie przesycą się kulturą. Zagadnienie utrzymania przewagi populacyjnej i równoczesnego dotrzymania kroku w rozwoju kultury i cywilizacji staje się przeto najbardziej nowoczesnym i najbardziej trudnym problematem zachodnich dziejów. Jesteśmy właśnie świadkami zastosowania polityki „świadomej” populacji przez przodujące kulturalnie narody, z których jedne czynią to dla rozszerzenia a drugie dla utrzymania swego stanu posiadania. Konieczność ta nastanie rychło i dla nas. Duży przyrost naturalny będzie dopiero wtedy miarodajny dla naszego stanowiska wśród narodów Zachodu, gdy podciągnięta kulturalnie i zrównana z innymi narodami masa polskiego ludu, a także i jego warstw wybranych, zachowa swoje wyjątkowe rozrodcze właściwości. Stać się to może tylko wtedy, jeżeli z narastaniem biologicznym narastać będzie i idealna i materialna treść życia. W postaci dzisiejszej przyrost polski jest tylko zapowiedzią, szansą i niczym więcej.

Jakąż jednak szansę zapowiada ta młodość nasza w perspektywie historycznej? Szablonowy tok myślenia jest mniej więcej taki. W zespole narodów, zaludniających Europę istnieje pono zjawisko podejmowania twórczych zadań kultury i cywilizacji przez coraz to inne grupy. Z Grecji i Rzymu, czy, jak chcą inni, z basenu Morza Śródziemnego, punkt ciężkości przeniósł się na kontynent, gdzie rola przodująca przypadła z kolei czy równocześnie Francji, Hiszpanii, Anglii, Niemcom. Na północy były wikingowskie czasy wyżycia się narodów skandynawskich. Miała swe wzloty Portugalia, Szwajcaria, Holandia. Rasowo dochodziły do głosu ludy romańskie, germańskie, anglosaskie. I wszyscy w znacznej mierze wyczerpali swoje zdolności kulturotwórcze.

Teraz więc, szeroko rzecz biorąc, przychodzi kolej na słowiańszczyznę. Polska, najlepiej położona geograficznie, dość świeża, aby ustrzedz się przed starczyimi chorobami Zachodu, a dość silnie wpleciona w jego kulturalną orbitę — powinna być pierwsza dotknięta tym procesem.

Na tym jednak nie koniec. Rozumowanie nasze idzie dalej. Ponieważ dotychczasowy wysiłek narodów europejskich nie dał bynajmniej dość harmonijnego i budującego wyniku, a to, co się nazywa zachodnią kulturą jest przeniknięte duchem przemocy i gwałtu, rozmiągającym się zarówno ze słoneczną Helladą, światem pogodnej myśli i wolności bytu, jak i chrześcijaństwem, światem wiary i miłości bliźniego — słowo ostateczne przypadnie słowianom. Wrodzone ich właściwości fizyczne, umysłowe i moralne, w szczególności dobroć i łagodność, serdeczność i wyrozumiałość, uzdolnienia wreszcie mistyczne — przeznacza ich do tej roli. Ponieważ jednak Rosja jest napół tylko słowiańska przez wielki dopływ krwi mongolskiej i równocześnie mocarnie skompromitowaną przez wielorakie sprzęgnięcie ze złymi duchami Zachodu — Polska wysuwa się na pierwszy plan.

Rozmowanie ostatnie, swoiste dla postawy mesjanistycznej, nie ma już w Polsce tak mocnego kursu jak dawniej, nie zostało jednak jeszcze bynajmniej porzucone. W niektórych zaś sferach doznało tylko więcej zewnętrznych, imperialistyczno-mocarstwowych mutacji. Młode pokolenie z pod znaku czynu „coute que coute”, nie zastanawia się nad tym czy cnoty Polaków predestynują ich do heroicznych czynów w Europie. Cnotą bowiem i to najwyższą jest, według nich, sama namiętność, samo dążenie do wielkości.

Perspektywy tego rodzaju byłyby istotnie nęcające i ostatecznie nie sposób ich całkowicie odrzucić gdyż są prawdopodobne. Nie ma zaś żadnej innej możliwości oceny tego, co będzie, jak tylko prawdopodobieństwo. Wiara, intuicja czy też zwyczajna kalkulacja, podyktowana interesem, pozwala na wybranie przez naród tego historycznego prawdopodobieństwa, które mu najlepiej odpowiada. Jeżeli więc naród polski uważa się za młody, co można w przybliżeniu uzasadnić, jeżeli d lej sądzi, że kolej historyczna przechodzi na niego — jego rzecz.

Przyjąwszy jednak taką postawę, trzeba równocześnie uwierzyć w dwa inne czynniki, a mianowicie: że kultura europejska ma jeszcze niespełnioną misję wobec świata, co dziś w XX wieku nie jest zdaniem wielu myślicieli, takie pewne — ponadto zaś, że naród polski posiada dostateczne uzdolnienia, aby podjąć się zadań kulturowych w znaczeniu ogólnoludzkim, które są coraz bardziej zawikłane i trudne.

Pierwszy wzgląd jest pozornie tylko rzeczą wiary. Rzeczywiście. Nie ma przeszkód logicznych, aby naród polski odrzucił cały sceptycyzm w siłę kulturową Zachodu, jaki pojawia się coraz częściej w samym rdzeniu myśli europejskiej. Można nawet iść dalej i utrzymywać, że zarysowujące się bankructwo zachodniej kultury, wzmacnia tylko pozycję Polski, która, granicząc z drugą stroną świata, może się ku niej zwrócić w poszukiwaniu ratunku i odnowy. Pogodzenie Wschodu z Zachodem jest nota bene, naiwnym i niedomówionym, ale stałym marzeniem polskiej duszy. W pierwszym jednakże i drugim wypadku nie nie zwalnia Polski od zapoznania się i to najgłębszego z istotą kultury, czy też kultur, których ma być pierwszym i głównym rzecznikiem. chcąc bowiem podjąć dzieło tak olbrzymie jak kultura europejska, lub tym bardziej euroazjaska, trzeba się nim przejąć do głębi, zdobywszy uprzednio odpowiedni zasób wiedzy. Młody naród polski nie spełni nigdy tego zadania, które jest sprawą daleko posuniętej dojrzałości. Niema żadnych przykładów w historii, aby jakakolwiek wizja kulturowa, jakakolwiek rewolucja pojęć była dziełem młodego narodu. Pierwszym przeto historycznym zadaniem młodej Polski jest przestać być młodą! Ostrzeżenie to należy się przedewszystkim pokoleniu, ogarniętemu mocarstwowym hazardem!

Istnieją wszakże polskie zdolności, otoczone wielką legendą. Istotnie! Naród polski jest zdolny, nie mniej a może i więcej od innych. Odznacza go bystrość i szybka chwytliwość. Jeżeli jednak polakowi nie trzeba dwa razy mówić, aby coś zrozumiał, to trzeba po stókracie przymuszać, aby zrozumiane wykonał. Inaczej mówiąc, polak najczęściej więcej zapowiada, niż spełnia. Jest to niedowład bardzo zasadniczy i rażąco sprzeczny z jed-

ną z kardynalnych cnot europejskości, jaką jest ściśle współdziałanie i współodpowiedzialność zamierzenia z czynem. To jedno. A drugie: świadectwo zdolności polskich, które doszły do największego wyrazu nie jest wcale tak potężne a nie dość liczne w swoich przejawach, by mogło już dziś współzawodniczyć z wielkimi narodami Zachodu.

Kopernik, Szopen, Mickiewicz i Krasński, Curie-Skłodowska, Sienkiewicz — to są bezsprzecznie świetne pozycje w historii kultury — ale każdy naród europejski o poważnej tradycji kulturalnej, przysypie je gradem nazwisk niemniej znakomych, i powiązanych ze sobą cyklicznie w grupy i konstelacje, za którymi stoi nieznanne u nas zjawisko kulturalnej atmosfery i gleby, obejmującej cały naród lub przynajmniej część narodu.

Nie mamy wiele do wygrania na konkursie gienjuszów. Jeżeli gdzie należałoby szukać przekonywujących dowodów dla uzdolnień Polaków jako narodu kulturotwórczego, to przedewszystkim w stopniowym i szerokim opanowywaniu wszystkich dziedzin kulturalnej twórczości lub chociażby kulturalnego wyrobnictwa, jakie rozpoczęło się w najgorszych ku temu warunkach politycznych XIX wieku i doprowadziło do pięknego wyniku, że dziś istnieje już poważna i wszechstronna nauka polska, istnieje polskie malarstwo, muzyka, literatura, teatr — zaczyna istnieć myśl polityczna i społeczna, wiedza techniczna, przemysł... istnieje, krótko mówiąc, lub zaczyna istnieć ciągła i konsekwentna tradycja pełnego wysiłku kulturalnego, poddana tym samym ścisłym kryteriom strukturalnym i pojęciowym, co na Zachodzie.

To zagarnianie kulturalnego pola przez Polaków, wytrwałe i ambitne, choć nie zawsze wdzięczne — nie przemówiło jeszcze dość silnie do świadomości narodu, pociągające ciągle fascynującymi zjawiskami gienjuszów. Zapatrzenie w Szopena czy Mickiewicza nie pozwala należycie ocenić faktu, że dopiero w XX wieku Polska staje się pracownią kultury w szerokim, choć rzecz jasna, nie najświetniejszym tego słowa znaczeniu. Nie jest to mała rzecz jako dzieło wiekowego tylko wysiłku, boć przecież nie nawiazywaliśmy do czasów jagiellońskich, a do saskich, tak pustych kulturalnie, iż można powiedzieć, że kultura nasza, taka, jaką jest dziś, powstała z niczego. Zdobyła właśnie własną atmosferę i glebę kulturalną, to, czego nie miała, nawet za najświetniejszych politycznie czasów.

I chociaż jeszcze u schyłku XIX wieku wyrwie się z Polski niejedna świetna postać, której brak tchu i zachęty wśród swoich, skoro opuści nas Conrad - Korzeniowski, Modrzejewska, Skłodowska, choć Szymanowski musi dopiero w obcym środowisku szukać oceny, której brakło mu w Polsce, choć Narutowicz odda Szwajcarii a Modrzejewski Ameryce swój wynalazczy umysł — to jednak coraz szczelniej zamykają się luki kulturalnego kręgu, dość już silnego, aby przywiązać do siebie, gwałtowne, twórcze natury.

Polska dojrzeje. Dojrzeje jednak w rzeczywistości a nie w swojej własnej świadomości, nie w swojej idealistycznej wyobraźni. Szkody, które wynikają z postawy wiecznie młodego narodu stają się już dla przyszłości złowrogie — towarzyszy im bowiem niezmierna pobłażliwość polaków wo-

bec samych siebie, nie znajdującą już dzisiaj żadnego usprawiedliwienia, ani wobec dzieł, dokonanych przez poprzedzające nas pokolenia, ani wobec powagi otaczającego nas świata i czasów.

Trzeba wybierać. Albo się jest narodem albo zadatkiem narodu. Jedno wyklucza drugie. Stawka na biologiczne przetrwanie innych nie da się pogodzić z pełnym udziałem w życiu. Jeżeli nawet młodość, tak jak się ją w Polsce pragnie pojmować, oznacza i pewne nosicielstwo ideału z odpowiedzialnością nieustaloną w czasie i — skoro spojrzeć wstecz, na dzieje polskiego idealizmu — tak rozciągała, że niemal odłożoną do Ostatecznego Sądu — to dojrzałość oznacza i ideał i natychmiastową odpowiedzialność. Z chwilą kiedy Polska

zrozumie, że nie jest jutrem Europy a tylko jej dzisiejszym dniem i weźmie na siebie cały ciężki i niezawsze wdzięczny trud dźwignia odpowiedzialności za całość życia, zbudowanego na kulturze zachodniej, z tą chwilą dopiero zdobędzie prawo do przyszłości, dziś wciąż jeszcze uzurpowane. Wojna obecna przyczyniła się wiele, aby w naród nasz tchnąć konieczną powagę w pojmowaniu swego losu. W ślad za nią musi iść jednak i wysiłek woli zmierzający do obudzenia naszej „młodej” niesforności surowymi prawidłami ścisłej kalkulacji sił i celowej nimi gospodarki. Stąd też najbliższa nam era należy do rozumnych organizatorów i wychowawców narodu.

POLSKO - UKRAIŃSKIE ZWIĄZKI KULTURALNE

Nie cud to, że Polska narodowości tyle w sobie pochłonęła, ale to, że żadnej nie naruszyła.

Adam Mickiewicz
(w przemówieniu do Aleks. Chodźki)

...Duch jakiś starej matki Ukrainy co jeszcze nie chce spać pod mogiłami.

Juliusz Słowacki

Mariaż Polski z Ukrainą należy może do najnieprzykładniejszych, jakie znają dzieje Europy, a jednak mimo wszystko jest to... mariaż. W ciągu wielu wieków istnienia — bo od 14 stulecia — obfitował on w momenty więcej niż dramatyczne: kłótnie, bijatyki, wzajemne wrywanie sobie włosów łącznie z wypowiedzeniem konkubinatu a nawet godzeniem małżonków na swe życie stanowią historię tego związku, lecz wszystko to nie zmienia faktu, że — Bóg czy diabeł je połączył — ale jest to małżeństwo. Słuszność tego porównania czy „przypowieści” unaocznia sobie najlepiej wówczas dopiero, gdy uprzytomnimy sobie stosunek Rosji do Ukrainy. Mariażem nie jest on napewno. Jest to raczej stosunek stryja, „opiekuna z urzędu”, do niepełnoletniego ale zasobnego i pełnego narowów bratanka, i trzebaby pióra jakiegoś dziejopisarskiego Dostojewskiego by przedstawić w pełni perfidne zabiegi opiekuńcze wielkoruskiego tutora wobec niedoświadczonego a impulsywnego pupila, zmierzające do jednego tylko celu: wywłaszczenia bratanka, by tak rzec, z duszy i z ciała.

Całą linię „rozwojową” stosunków rosyjsko-ukraińskich, od 17 a nawet od 16 wieku począwszy, wyznacza niemal bez reszty ta konfiguracja psychologiczna dwojga aktorów dziejowych: przebiegłego, szczwanego i wszelkie możliwe przychylności udającego stryjaszka, w rzeczywistości żyjącego jedno tylko uczucie dla swego pupila, mianowicie apetytu na wszystko co posiada — i buńczucznego bratanka, któremu własna jego nieświadomość i naiwność ma stać się narzędziem samozatrąty. Bo zatrata Ukrainy jest i do pewnego stopnia musi być celem opiekuńczej Rosji, białej, czerwonej czy czarnej. Bardzo to wszystko dalekie

związkom duchowym, jakie Ukrainę łączą z Polską. Mimo wszystkie burdy dziejowe jest to mariaż, w którym takie bezwzględne wydziedziczenie, jakie leży w planach wszelakich caratów, jest czymś w założeniu niemożliwym, i gdzie mimo wszystkie pozory, narodowa równorzędność obu partnerów leży u podstaw wszelkiego obcowania. Cokolwiek bowiem o stosunek polsko-ukraińskich powiedziećby można, „zjedzenie” Ukrainy nie było nigdy i nie jest celem Polski, i to nie tylko dlatego, że brakłoby na to sił, ale i dlatego, że linię stosunków polsko-ukraińskich określa całkiem inna konfiguracja psychologiczna, którą pozwolimy sobie nazwać małżeńską. A małżonek może się pobić, pokłócić, nawet rozstać się z żoną, ale nie może żądać, by się stała nim samym, mężem. Połowica jest tu trafnym określeniem. Choć więc jedna i druga strona w tym zaiste zwariowanym małżeństwie robi od wieków wszystko, by się sobie nawzajem obrzydzić, tu jednak tak wielka jest siła jakiegoś dziejowego sakramentu, że rozejść się im niepodobna. I chwila obecna nawet dostarcza aż nadto, i to bolesnych dowodów, że mariaż ten, choć tak kłótlawy, istnieje, i że oboje małżonkowie są beznadziejnie na siebie skazani, a ostateczne i nieodwołalne zerwanie równałoby się niemal rozstaniu się obu stron z życiem. Mimo więc wszystkie okropności, w jakie obfitują dzieje polsko-ukraińskie, i jakich jesteśmy dziś nawet świadkami, pieczęć sakramentu nie straciła jeszcze swej mocy.

Niezmiernie trudnoby określić, na czym polega istota tego sakramentu, tak nieprzykładnie dochowywanego z obu stron. Nie ulega tylko wątpliwości, że stoi on w ścisłym związku z kulturalnym —

w najszerszym słowa tego znaczeniu — „widoszeniem” obu narodów do siebie, i dlatego w najgłębszej swej treści jest on „niepamiętną pamięcią” wielowiekowego ich obcowania. Jeśli tak jest, to kto wie, czy u dna tego stosunku nie leży świadomość, iż nie gdzie indziej, a właśnie w granicach jagiellońskiej i pojagiellońskiej państwowości polskiej zachowała się i ukształtowała oparta na etnicznych podstawach narodowa odrębność ukraińska, czego widomy znak ujrzećby można nawet w przemianowaniu Rusi południowej na Ukrainę („ukraińską”, pisze prof. Brückner, termin dla określenia każdej „wysuniętej” ziemi). Lecz wysuniętej w stosunku do czego? Chyba tylko do Polski! Chocby nawet nie twierdzić, iż było to świadomym dziełem państwowości polskiej, iż starała się ona o zachowanie narodowej odrębności ukraińskiej (wówczas ruskiej), co w tym samym zresztą stopniu odnosićby się mogło też do narodowości białoruskiej, litewskiej czy nawet polskiej (w rzeczywistości było nieco inaczej), to fakt pozostanie faktem: ukraińska narodowa i językowa odrębność ostała się tylko na tych polaciach, które mieściły się wówczas w obrębie państwa litewsko-polskiego, gdy wszystkie inne ziemie, zamieszkałe przez ludność „ruską”, znalazły się w promieniu kulturalnej grawitacji Moskwy, przerodziły się w tereny rosyjskie. Państwowość polska stała się już wówczas Piemontem nowożytniej Ukrainy, i pod jej mniej lub więcej chroniącymi skrzydłami odbyła się ukraińska kolonizacja pustką niemal stojącą wówczas Ukrainy, Podola i innych ziem, która znacznie już później dotarła aż do wybrzeża morza Czarnego. Niemalą przytym rolę odegrały „zdobycze pługa polskiego”, który jednak nie okazał się jakoś groźnym dla ukraińskiej odrębności narodowej — choć już Kromer pisał w XVI wieku, iż „na Rusi więcej teraz polskiego niż ruskiego słyhać języka” — kiedy Ukraina tą swoją odrębność etniczno-narodową zachować zdołała. A że nieliczna stosunkowo warstwa wyższa została wówczas w dużej swej mierze spolonizowana, to dowodzi tylko atrakcyjności ówczesnej kultury polskiej, ale nie polskiej polityki wynaradawiającej, nie mówiąc o tym, że i stosunki socjalne odegrały przytym dużą rolę a kozacki „radikalizm” pchał szlachtę ruską w objęcia polskiej. Lecz hasła wynarodowienia, tak bezwzględnie stosowanego nad Łabą i Odrą, Rzeczpospolita polska, Matka Narodów, nie znała.

Czymkolwiek więc byłby ów fakt zachowania ukraińskiej odrębności narodowej i językowej, przypadkiem nie był on i być nie mógł. Wynikł on z samej tolerancyjnej struktury Rzeczypospolitej. Historia niedostępna jest badaniom laboratoryjnym i dlatego trudno powiedzieć napewno, co by się stało było z Ukrainą, gdyby tak Polsce nie udało się w XVI wieku utrzymać Moskwy w ryzach a Ukraina podzieliłaby przeznaczenie innych krain, zagarnianych przez „zbieraczy wszech ruskich ziem”. Gdy jednak patrzymy na los dzisiejszej „wolnej” Ukrainy, niepodobna niemal wątpić, że i wówczas, w XV i XVI wieku, państwa pastwą pączkującego imperializmu rosyjskiego i złałaby się w jedno z wielkim „słowiańskim” (czytaj: rosyjskim) morzem. Bo i dziś, mimo utrwalenia się odrębności narodowej a nawet „państwowej”, mimo „liberalnej” konstytucji sowieckiej i... p. Korniuczuka, jest ona tylko cieniem Wielkorosji. O tym nikt nie wątpi, nawet sami Ukraińcy. Nie była na-

tomiasz Ukraina cieniem niczym, gdy w granicach państwowości polskiej zdołała dokonać olbrzymich prac kulturalnych, jakimi było zachowanie swej odrębności i skolonizowanie południowo-wschodnich ziem państwa polskiego. Żył a dawała dowody, że żyje, osłaniana granicami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a państwowości naszej zawdzięczała, że nie stała się częścią „wielikoj niedielimoj”. Nasi poczciwi nacjonalisci XX wieku twierdzili z uporem, że narodowość ukraińska, to twór austriackiej perfidii, jako że z historią obchodzili się bardzo szczególnie i inteligencją nie grzeszyli. O wiele bliższym prawdzie, i prawdą samą byłoby twierdzenie, że narodowość ta, to dzieło polskiej polityki, — i mądrzejsi od przemadających nacjonalistów naszych byli n. p. „nierealni” romantycy polscy, którzy w Ukrainie część rozabranej ojczyzny widzieli a w herbie Rzeczypospolitej pospołu z Orłem i Pogonią także Archaniola ukraińskiego umieszczali. Że zaś ta polityka nietylko z samej struktury państwowej wynikała, ale była w dużej mierze świadomą, tego dowodem poczynania polskie w związku z zabiegami o unię religijną, nie dające bynajmniej do narzucania obrządku łacińskiego, lecz zmierzające do uwytądnienia odrębności tych ziem także gdy chodzi o ich wyznaczenie oblicze. Prawda, że zgodnie z duchem czasu wielką rolę odgrywały tu też i względy misyjne (w każdym razie nie narodo eksterminacyjne), niemniej jednak usiłowała polityka ta ugruntować wyznaniową odrębność Ukrainy i oddzielić ją murem innego obrządku od Moskwy, tego „zamku prawosławia”. I jeśli co z punktu widzenia narodowych celów ukraińskich zarzucićby można tym poczynaniem, to chyba to jedynie, że były za słabe, jak wogóle, jeśli co Ukraina państwowości polskiej zarzucić może, to głównie to, że Polska była w tej swej inicjatywie za miękka, za mało zdecydowana, gdy chodziło o obronę Ukrainy przed wschodem. To tylko mogła zarzucić, nie gwałt i przemoc, a wszystkie „wojny z Kozaki” były drobnostkami w porównaniu z zasadniczymi faktami, jakie stanowiły ocalenie narodowej odrębności ukraińskiej i zabezpieczenie jej etnicznego obszaru oraz możliwości rozwojowych, co dokonało się za sprawą i granicach polskiej państwowości. Zły los Ukrainy, spadek jej zdolności twórczej, zaczął się dopiero wówczas, gdy się tej państwowości sprzeniewierzyła i poszła na złocony chleb moskiewski. Choć po niej jakim ezasie próbowano się opamiętać (Mazepa) i zaczęło przeczucować, że co się tak świetnie zaczęło, niekoniecznie musi się świetnie skończyć, nie zdołano zebrać dość sił, by zawrócić z fatalnej drogi ku rosyjskiemu morzu. Ale to już nie polska wina, ale własna, ukraińska. Słabości charakteru i myśli mszczą się niemal w nieodwołalny sposób. My, Polacy, coś o tym wiemy.

Oczywiście nowoczesna historiografia ukraińska bardzo niechętnie spogląda na ukonstytuowanie się i utrzymanie swego narodu od tej strony, od której patrzeć, niepodobna w poczynaniach polskich widzieć tylko zdradzieckie zamachy na „samostijną” Ukrainę. Zbyt pochopnie wietrząc w dziejach Ukrainy tylko „kryudę”, ulegając nacjonalistycznemu zaślepieniu i niechęci do wszystkiego co polskie, pławiąc się w megalomanii narodowej, zakochanej w statystyce, która podszeptuje, że przecież Ukraińcy, to 45 milionowy naród, gdy Francja ma tylko 42 miliony (któryż więc z tych narodów jest większy? pytają nie pytając, ale

w liczbach znajdując odpowiedź), nie chcą i nie umieją rozważnie zbilansować swej historii, w sposób rzeczywście godny wielkiego narodu, aż usłużny opiekun ofiaruje wygnańcze zylum, jak Hruszewskiemu w Moskwie. Niechęć przystania im wszystko, nawet dolę własnego narodu i prawdę swoich dziejów. Gdyby nie to, musieliby głowę skłonić przed tym, co dzięki państwowości polskiej dokonało się dla przyszłości ukraińskiego narodu i przyszłej, rzeczywście „samostijnej” Ukrainy. Musieliby uznać może, że nie takim zdrajcą był Sahajdaczynj, za jakiego skłonny byłoby się go uważać, że nie takim to głupstwem była unia hajdacka, jak to się niektórym ukraińskim „hegliztom” wydaje, i że katastrofa rozbioru Polski, była katastrofą nie tylko Polski, ale i Ukrainy, może nawet bardziej Ukrainy niż Polski, bo ją bez dostatecznie skryształizowanej świadomości narodowej i osłabioną stuletnimi walkami, wydała w ręce śmiertelnego wroga - opiekuna, któremu na zachowaniu Ukrainy w innym znaczeniu, jak w znaczeniu prowincji rosyjskiej (choćby mianowanej samodzielna republika) nigdy nie zależy i zależy nie może. Ukraińcy na równi z Polakami powinni byli opłakiwać rozbiór Polski, czyniący ze sprawy ukraińskiej „wewnętrzna” sprawę Rosji (znamy to i dziś! Estonia, Litwa, a jeśli się da, to i Polska, ba! Europa, to „wewnętrzne” sprawy ZSSR, określone konstytucją sowiecką”). Aby to uczynić, trzeba było mieć wzrok Wernyhory, ale na takie spojzenia stać ich nie jest. Natomiast cieszyli się, że Gonta i Zeleźniak przyczynili się do upadku Rzeczypospolitej, stworzyli nawet cały kult Gontów, a z hajdamaczynj — historycznie biorąc, z bardzo mętnych wywodzącej się źródeł — próbowali uczynić mit narodowy, w którego znaku usiłowali żyć, jakgdyby żałosne te przez swą istotną treść i formę wypowiedzi wypadki starczyły mogły za drogowskaz dziejowy, dający coś więcej nad całkowitą dezorientację dziejową i wiodącą do niczego innego, jak w najlepszym wypadku do kulturalnego i politycznego infantyilizmu. Nawet Szewczenko, wybitny poeta i wielki patriota ukraiński, uległy był tej hypnozie i w swej sublimowanej apoteozie „Hajdamaków” dał swemu narodowi coś w rodzaju eposu narodowego, co bezkarnie nie uchodzi. Dużo kosztowało to Ukrainę i będzie kosztować jeszcze, że z hajdamaczynj synowie jej próbowali wywieść swą „ideologię” narodową. Bo nie Gontą i Zeleźniakiem, nie hajdamaczynją, nawet nie Chmielnikiem, któremu carowie słusznie postawili pomnik w Kijowie a którego imieniem ochrzcił Stalin nowy order sowiecki, będzie się legitymować Ukraina, gdyby jej teraz przyszło stanąć przed trybunałem narodów, ale właśnie rozbiorem Polski, jedynym nieprzedawnionym atutem międzynarodowym, dowodzącym, że gwałtem i przemocą podano naród ukraiński pod jednolite już jarzmo takich czy innych carów wszech „Rassiji” i zrobiono z niego, mającego jak Polska być przedmurzem Europy, bastion euroazjatyckiej kultury i panrosyjskiego imperializmu. Nieliczni tylko, jak Dymitr Doncow, i to przeważnie z Naddnieprza, rozumieli, że związek Polski z Ukrainą, to bardzo nieprzykładne małżeństwo, ale małżeństwo, oparte na głębszych niż dziejowe niesnaski podstawach, i na nim gruntuwali swe marzenia o bytowaniu Ukrainy w kręgu zachodnio-europejskiej kultury. Innym, głównie „galicyjskim” Ukraińcom przystaniał i przystania tę prawdę „romantyczny” mit rzezi huma-

skiej. Taki to i romantyzm, ale przepłacić go można — bytem własnego narodu.

A jednak „szcze ne wmerła” jeszcze nie zginęła Ukraina (jakieżże to piosenki jest refleks?), ale jeśli żyje, jeśli istnieje, to tylko dzięki tym faktom, które dokonały się przed wiekami pod auspicjami państwowości polskiej; oczenia poczucia odrębności narodowej i stworzenia szerokiej podstawy etnicznej (tę podstawę mocno dziś podważyła Rosja, wywoząc miliony Ukraińców na Syberię). Nie można porównać żadnego faktu w dziejowym życiu jakiegoś narodu z tym, który przywiódł go poprostu do życia, do nowego życia. Jest to fakt kulturalny tak doniosły i zasadniczy, że wobec niego wszystko inne jest drobnostką. A fakt ten dokonał się za sprawą państwowości polskiej. Mówi się nieraz o późniejszych wpływach polskich na kulturę ukraińską, ale w porównaniu z tym, są to rzeczy małoznaczne. Drobnostką jest oddziaływanie piśmiennictwa polskiego na literaturę ukraińską XVI i XVII wieku, drobnostką wpływy polskie na kolegium Mohylańskie z jego dramatem polskiej proveniencji, jak też wiele innych szczegółów, w zestawieniu z tym zderzeniem podstawowym, który pozwala nam dziś jeszcze nawet, na przekór tyłu i tak niedawnym okropnościom, mówić o polsko-ukraińskim, nieprzykładnym, to prawda, ale małżeństwie. Z drugiej zaś strony niepodobna nie przypomnieć, że pierwszy poryw odróżnienia piśmiennictwa ukraińskiego, u końca XVIII wieku, nastąpił wówczas właśnie, gdy Ukraina lewobrzeżna z jej dominującym wpływem polskim znalazła się razem z prawobrzeżną. Zastryk ten nie starczył na długo, ale dał renesans piśmiennictwa ukraińskiego, pasując je z dialektycznego na narodowe. Niepodobna też pominąć tego, że gdy na Naddnieprzu świeży ten nurt zapadł w piaski a Szewczenko dumać mógł na wygnaniu, na Rusi Czerwonej, w najściślejszym kontakcie z kulturą polską, nastąpiło jakby powtórne, niepomierne silniejsze odrodzenie zarówno świadomości narodowej, jak i piśmiennictwa narodowego. Były to czasy, kiedy Austriacy w niejednym m. czali palce — Iwan Franko z dumą wskazywał, że wypadki roku 1846 nie miały odpowiednika na Ziemi Czerwieńskiej — ale kiedy poczucie dawnej wspólnoty, owa „niewątpliwa pamięć”, była jeszcze tak silna, iż niejeden „Rusin” mimo austriackiej opieki (już to do opiekunów Ukraińcy zawsze mają szczęście!) pomykał do powstania 63 roku, nie jako nazione Polonus, ale jako civis Polonus. Gdy Ukrainę naddnieprzańską zaległa głucha cisza śmierci, tu, w oparciu o kulturę polską, polskie dążenia niepodległościowe, polską poezję romantyczną, powstał nowy Piemont ukraiński. I choć swary i spory były aż nazbyt głośne, a nawet krwawe, choć emancypacja Ukraińców przybierała coraz ostrzejsze, a nie zawsze szczęśliwe formy, zasadniczo w kontakcie z kulturą polską a nie inną kształtowało się to nowe kulturalne pokolenie ukraińskie. Tu za niepodległej już Polski można było odetchnąć swobodniej, pomyśleć śmieiej niż w tej zakordonowej, „wolnej” Ukrainie, o której niewiele wiedzieli, ale wiedziano napewno, że pisarze ukraińscy giną tam gdzieś w tajemniczy sposób, że odpowiedzialni przewodcy, bynajmniej nie „reakcyjni” ale za to „nacionalistyczni”, kończą swe życie wystrzałem, nie mogąc znieść widoku straszliwych tortur, jakie kazano im zadawać swemu własnemu narodowi, gdzie najsilniejszy, jeśli nie jedyny w całych So-

wietach, stawiano opór socjalizacji gospodarstwa wiejskiego, co w niemałej mierze przypisać należy zachodnim tradycjom kulturalnym, żywym jeszcze na Ukrainie, ale obcym matuzsche Rosji, która tak niedawno wyszła z gromadzkiej „obszczyzny”. Można by przypisać litanią nazwisk na dowód, że i w ostatnich czasach, które nie można określić jako sielankowe, kultura ukraińska w Małopolsce, jak Anteusz, brała siły od najbliższej jej postawą ideową i, by tak rzec, polityczną kultury polskiej, nie zatracała siebie ni swej odrębności. Brała to, co potrzebowała, nie stając się przez to polską, ale przyjmując od nas tak, jak my przyjmujemy od innych. I nikomu nie przychodziło na myśl uczynić z tego „wexsel polityczny”. Tak właściwie powinny kultury przystawać ze sobą: szanując cudzą odrębność i nie przestając być sobą. I choć nie brakło zgrzytów, niekoniecznie zawinionych przez Ukraińców, taki też był do ostatnich czasów w Ziemi Czerwieńskiej stosunek kultury polskiej do ukraińskiej i naodwrot, o ile wyluskamy go z konjunkturalnych mgieł i chmur doraźnej polityki, przeszywanych od czasu do czasu piorunami.

Lecz mimo one pioruny, kulturalnie rozumieliśmy się. Może ze strony polskiej wiedziano za mało o wysiłkach ukraińskich ale z każdym dniem wiedziano coraz więcej i rozumiano się. I nic w tym dziwnego. Jesteśmy zdaje się jedynym narodem, który Ukraińców zrozumieć potrafi. Ich ideały narodowe, o ile nie wiążą się z dziecinnie ludową hejdamaczyzną, nie są nam obce, a kraj ich i język i dzieje znaleźmy i znamy. I wszak to my jedyni, nie Rosja, posiadamy w piśmiennictwie naszym „szkołę ukraińską”, stworzoną nie przez podwójnych zaprzających, jak Gogol, ale przez rodzimych Polaków, a wśród nich błyszczą takie nazwiska, jak Słowacki, jak Malczewski, Bohdan Zaleski czy Goszczyński. Warto przy tej polskiej szkole ukraińskiej zatrzymać się na chwilę, bo może w dziele jej więcej zawarto mądrości, niestety, zazwyczaj przez nas niedocenianej, niż przypuszczamy, a nade wszystko, może nam nieprzekupne, bo poetów usta zaświadcza, czy aby owo polsko-ukraińskie małżeństwo nie jest chytrze wymyślonym mitem polskiego „imperializmu”, a stanowi coś zgoła innego i nieporównanie donioślejszego. Już sam czas powstania tej szkoły, w pięćdziesiąt lat po kolizczyźnie, jest czymś, co może dać do myślenia. Niejeden przecież z tych, co czytał pierwsze wydanie „Zamku kaniowskiego” lub „Zmiji”, zżymał się jeszcze przy lekturze, mając w żywym wspomnieniu krwawe humanistyczne nieszpory, gdzie zginął może jego stryj lub ojciec. A jednak nie zdołało to stać się kamieniem obrazu. Z taką siłą potrafiłono przezwyciężyć te obsesje, tyle męskiej i wielkiej miłości do naddnieprzańskiej krainy, w której błękitnych stepach odczuwał Słowacki jak nigdzie obecność Boga, zawarto w tych utworach, że nie stało miejsca na choćby z ukosa rzucone spojrzenie nienawiści, aczkolwiek bynajmniej obmierzyłem tym wspomnieniem nie schodzone z drogi. Przeciwnie, nawet z nich czerpano natchnienia, czy to sublimując poetycko ich demoniczną aureolę, jak w utworze Goszczyńskiego, czy też sprawiając sąd nad obydwojma walczącymi stronami, jak w „Śnie srebrnym Salomei”, przyczym, by się tak wyrazić, propagandowa polska racja stanu bynajmniej nie stanowiła drógowską, poeci ci bowiem czuli się piewcami nie prokuratorami tego krwawego ale kochanego swia-

ta. Ten stosunek niezrozumiałej dla dzisiejszego nacjonalisty tolerancji poetyckiej wynikał z zasadniczej postawy, uznającej w Ukrainie pewien odrębny, zamknięty świat, posiadający swój własny kształt duchowy, równorzędny z Polską, choć z nią związany, i za to właśnie kochali go, za to, że Ukraina była Ukrainą a nie Polską, a sama myśl, że ktośby mógł pragnąć kraj ten „opolaczyć”, była im wroga, gdyż nie widzieli racji, dlaczego jeden syn, może wyrodny, dawnej Rzeczypospolitej, miałby być zastąpiony przez drugiego. Dlatego też Ukraina ich, to nie jest Ukraina „jasnych panów”, ale także, a nawet przedewszystkiem Ukraina Nebaby, Semenki i... Wernyhory, choć znow wbrew dzisiejszym nacjonalistom ukraińskim, nie uważali oni Polaków na tej ziemi za intruzów, ale za tak w nią zrósłych, jak i kozacy bohaterzy ich wizji poetyckiej. Polska zaś racja stanu ich poezji polegała na tym, że taką ją właśnie kochali, jaką kochali ją „ludzie tutejsi”, wspaniałą, grozną, w oparach krwi, i czuli się tu duchowymi autochtonami.

Choć nie stawiali się in loco poetów ukraińskiego narodu, nakaz wewnętrzny kazał im oglądać świat ten oczyma nie innymi jak poety tej ziemi, miłującego, nie roniąc przytym nic ze swej polskości, nie zapierając się jej dla „obiektywności”, ale też nie wywyższając jej i nie zamykając się w jakimś jasnopańskim świecie. Wierność swej miłości była im, jak wszędzie zresztą, kluczem do świata poetyckiego widzenia. Polskość nie dawała im tu żadnych szczególnych praw ni przywilejów, bo gdyby dawała, przestałoby być poetami tej ziemi. I to sprawia, że gdyby wszystkie ich związane z Ukrainą utwory przełożyć na język ukraiński, musiałyby być uznane za dzieła narodowej poezji tego kraju, a nawet najbardziej skrajny narowiec ukraiński znalazłby w nich chyba niewiele zgorszenia ni ukrytego polskiego „imperializmu”, jak nie znajdowano dotychczas zgorszenia i imperializmu n.p. w „Karpackich góralach” Korzeniowskiego, ulubionej sztuce wszystkich ukraińskich teatrów. Kto wie nawet, czy dziś jeszcze dzieła te w ukraińskiej szacie nie stanowiłyby rewelacji dla piśmiennictwa Naddnieprza, gdyby ktoś przełożył je z takim pietyzmem i miłością, z jaką Maksym Rylski, przełożył „Pana Tadeusza”. Dzięki temu jednak bezwzględnemu zespoleniu się ze światem Ukrainy, zdołałi poeci ci stworzyć romantyzm kozaczyzny, szeptać ustami Malczewskiego i Słowackiego, napiękniesze słowa, jakie napisano o Ukrainie, naprzekór propagandowej polskiej racji stanu ukazać bujne i dzikie piękno swych stepowych herosów, i nawet obcych zarażać swą miłością, jak uczynił to autor „Marii” porwijający w Wenecji Byrona swą opowieścią o Mazedzie. Szerokie to były serca i piersi, zmieścić się w nich potrafiło to nawet, co ich jako Polaków bolało, a ku chwale swojej, Polski i Ukrainy umieli w swych natchnieniach znaleźć racje, dla których wolno im było i musieli kochać ten kraj i jego ludzi jak swych własnych ziomków. I gdyby serca ich rozkroił, nie znalazłbyś w nich innej zaborczości krom tej, która niech się święci: zaborczości miłowania.

Swego się nie zaparli, cudze, choć bliskie jak własne serce, ujrzeni, uwielbili i do boskiego podnieśli, nie pragnąc, by dumkę ukraińskiej ziemi zastąpił kujawiak czy oberek z nad Wisły. Jakże inaczej wyglądał stosunek do onej ziemi tego ćwierć Polaka, pół Ukraińca a całego Rosjanina,

Gogola? Mimo patriotycznie hajdamackiego „Tarasa Bulby”, nie był to rzecznik Ukrainy w świecie ducha. Był to ktoś, kto przez artystyczne zasympilowanie świata „chachłacko”-kozackiego, wprowadzał go w organizm wielkiej moskiewskiej ojczyzny, wiążąc go, jak mu się zdawało, na zawsze z kulturą rosyjską i uniepotrzebniąc wszelką inną jego wypowiedź. To sprawiało, że stawał się on rusyfikatorem Ukrainy, nie gorszym od jej rosyjskich wielkorządców i duchowo wcielił ją do matuzki Rosji, przy wszystkich swych ukraińskich sentymentach sypiąc jej grób. Piejąc czar ukraińskich ziem, czynił je jednym z narzeczowych krąjobrazów wielkiej matki „ruskich” ludów, przedzierzał je poprostu w Rosję, swemu „lokalnemu” patriotyzmowi dając co najwyżej upust w wycieczkach... antypolskich. Jakże innym był stosunek poetów polskich do Ukrainy! Jeśli geniusz i artyzm Gogola stawał się organem rosyjskiego imperializmu, pragnącego wcielić Ukrainę do Rosji po wieki wieków, bo geniusz i artyzm poetów polskich był narzędziem obrony Ukrainy przed zaborczością, nawet przed zaborczością własnych rodaków, Gogol chciał ją widzieć jedną z ziem wielkiego zespołu krajów rosyjskich, poeci nasi chcieli Ukrainę widzieć taką, jaka była, nie Rosją, nie Polską, ale Ukrainą, odrębną, o własnym wyrzeczonym obyczajowym i duchowym a nawet o odrębnym ustroju państwowym. Pisząc swe ukraińskie utwory, dostocowali się oni jakby mimowiednie do tych zasad, według których przed kilku wiekami dokonane zostało pod znakami państwowości Rzeczypospolitej ukonstytuowanie się ukraińskiej odrębności narodowej i utworzenie jej obszaru etnicznego. Nad tym to tworem i dla jego potrzeb kształtowali teraz jakby duchową nadbudowę nie po myśli wymagań polskiej racji ani żadnej innej, ale swej poetyckiej i ukraińskiej. I choć to brzmi paradoksalnie, na dnie marzeń poetów polskich żyła odrębna „samostijna” Ukraina, gdy na dnie gogolowskiej admiracji ukraińskiej ziemi czaiła się wieczysta jej aneksja przez rosyjskie imperium.

To stanowisko poetów polskiej szkoły ukraińskiej bynajmniej nie wynikało z jakiegoś sentymentalizmu chłopo- i ukrainomańskiego, przeciwnie, było dziełem realizmu duchowego, mądrości i rzetelności, i nie stanowiło zresztą wówczas czegoś wyjątkowego. Podzielało je całe ówczesne społeczeństwo polskie, które w Ukrainie widziało część dawnej, wspólnej Rzeczypospolitej zaś w narodzie ukraińskim brał naród, jeden z tych, które tworzyły wielki związek ludów na wschodnim między morzu. Przypomnijmy sobie tylko taki drobny fakt, że w czasie uroczystości związanych z zakończeniem prac przy kopcu Unii Lubelskiej we Lwowie, zebrano składkę, za którą założono ukraińskie towarzystwo oświaty ludowej „Proświta”, źródło późniejszych zmarłań tyłu starostów austriackich i polskich. Mimo krwawych wspomnień nie wykluczono Ukrainy od wspólnoty narodów Rzeczypospolitej a granice roku 1772 uważano za obowiązujące. Lecz postawy tej, która jeszcze Dostojowskiemu, co „wszystko” rozumiał tylko nie Polaków, wprawiała w prawdziwy szal, odstąpiliśmy w drugiej połowie XIX wieku. Klęska roku 1863, powszechne wzięcie rozbratu z „nierealnym” romantyzmem, spadek skali uczucia i myślenia, coraz ciśniejszy i coraz bardziej tępy nacjonalizm, sob-

kostwo klas posiadających, tarcia narodowościowe w byłej Wschodniej Galicji, wreszcie niezdolność szerszego ogarnięcia nietylko sprawy ukraińskiej, ale nawet i polskiej, wszystko to sprawiło, że — zgrzeszyliśmy. Zgrzeszyliśmy rezygnacją i pomniejszeniem siebie, a Ukraina stała się w myślach naszych coraz bardziej prowincją rosyjską, w której znajdują się laty fundia polskich „panów”. Duchem ustąpiliśmy z Ukrainy. I gdyby nie wyprawa kijowska i przymierze z Petlurą, budzące taką złość w sercach naszych nacjonalistów i... bolszewików alias Rosjan, nie moglibyśmy się powołać od czasów Złotej Hramoty i kozaków otomańskich S dyka-pasy, na żaden choćby tylko gest polski, świadczący, że w Ukrainie widzimy wczorajszego a może i jutrzejszego druha. Temu stanowi rzeczy towarzyszyło i cofanie się naszego zasięgu zainteresowań kulturalnych. Ukraina przestała być przedmiotem naszych marzeń i myśli. Jeszcze Sowiński, jeszcze Kolberg, jeszcze Sienkiewicz, który swym „Ogniem i Mieczem” stworzył dziwny epilog rapsodu „szkoły ukraińskiej”, jeszcze ten i ów historyk, jak Jabłonowski czy Kubala, lecz na ten stosunek do Ukrainy, jaki posiadał Słowacki, Goszczyński czy Bohdan Zaleski, ogółu stać już nie było. Zabrakło nam tych wielkich skrzydeł, jakie posiadały poprzednie pokolenia, i odwyczailiśmy się patrzeć na Ukrainę jak na ziemię cudzą a swoją. Ukraińcy okazali się nie lepsi od nas. Ale czyż można ostatecznie robić Ukraincom zarzut z tego, że nie wierzyli w to, w co i my sami przestaliśmy wierzyć: że jesteśmy synami jednej matki, wielkiej Rzeczypospolitej, w której dość miejsca dla Polaków i dla Ukraińców?

Lecz kontakt kulturalny, i tylko on właściwie, trwał jeszcze, i jedynie w nim jeszcze żyła pamięć, więcej nawet, mus uznania tej prawdy, która uczyniła nasze narody tak dziwnym małżeństwem. Rzecz godna uwagi, że kontakt ten ze strony ukraińskiej był ostatnio nawet silniejszy, niż z naszej, dojrzwając bowiem do niepodległości i żywiąc podobne pragnienia i myśli, co my, Ukraińcy mimowoli lgnęli do naszej wielkiej poezji, do piśmiennictwa, a Wyspiański czy Brzozowski znajdowali jeszcze, żywy oddźwięk wśród inteligencji ukraińskiej Ziemi Czerwieńskiej. Legion ukraiński, powstały w poprzedniej wojnie dla walki z Rosją, był również widomą tych związków duchowych oznaką. Zbliżyła oba narody droga krzyżowa, którą przeszły i przechodzą dziś jeszcze. I może pod znakiem tego wspólnego krzyża, pod którym dziś upadają i w przyszłości upadac mogą jeszcze obydwa narody, ukraiński i polski, nastąpi wreszcie ich porozumienie, wolnych dzieci jednej wielkiej macierzy. Byłoby to ostatecznym ukoronowaniem tego wielkiego dzieła kulturalnego, jakiego oba ludy dokonały w ciągu wieków, a które, jeśli ma się ono ostać i rozwinąć, odnaleźć musi pod swoimi stopami tę samą podstawę, na jakiej dokonano go przed wiekami: wolnych z wolnymi i równych z równymi. Inaczej przyjdzie nam i im zamknąć się w ciasnych granicach „świętego” egoizmu, z którego nigdy jeszcze nie powstało nic wielkiego, a już najmniej wielkie przeszła kultury, łączące narody nawet wówczas, gdy stają naprzeciw siebie na udeptanej ziemi.

Z M A R T W Y C H W S T A N I E

Tak właśnie wschodziło słońce
Kwiatem dziewanny
Gdy poszły ścieżkami, miedzami
Ewangeliczne panny.

„Quem queritis”? spytała	Więc zeszły do miasta panny
Twarz srebrnoszklista.	Co wstały zrana.
„Chrystusa, Pana Naszego”. —	Wołały jak ptaki: „Wskrzesz z martwych!
„Niemasz go tu. Zmartwychwstał”.	Szukajcie Pana”!

Stanąły w drzwiach święte męże
Nieme z boleści.
Zbiegli się pilni uczniowie
Słuchając wieści.

I pobieźli spłonieni
Za siódme rzeki;
Łądy im były krokami,
Milami wieki.

Zaszli, gdzie gwiazdy polarne
Krań świata brzeżą —
I ciągle szukając Pana
Bieżą a bieżą.

(*Nilam Homzyca*)

Józef Czechowicz

† 1939 r.

C Z A S U J U T R Z E N N E G O

(Scena przedstawia otwartą okolicę. Pośrodku sceny, ale nieco w głębi, trzy młode drzewka, zazielenione majem. Za drzewkami wielkie niebo, które zrazu nocne i księżycowe, rozwidnia się z wolna, aż u końca widowiska wybucha blaskiem słońca wstającego tuż za drzewkami, na wprost widzów, i oślepia ich.

Z lewej strony skłębienie ciemnych kształtów,

niewyraźnych w mroku, póki na scenie księżyc i noc. Gdy szarzeje przedświt, z lewej strony nie ma już nic.

Prawą stronę zajmuje narożnik domu miejskiego, nowoczesnego, z dużym, podłużnym oknem na parterze. Okno jest otworzone. Widać stoliczek z głośnikiem radiowym i lekką jak cień firankę.

S C E N A P I E R W S Z A .

(W oknie stoją JAN I MARIA).

JAN: Zmęczył cię dzień? Żle ci było wśród ulic?

MARIA: Żle i straszno, jak zwykle. Nie miałam cię przy sobie, a ludzie patrzyli mi prosto w oczy. I nie miałam siły, aby uciec tu, do naszego cichego gniazda.

JAN: Ptaszku, mój biedny ptaszku!

MARIA: Patrzyli mi prosto w oczy. Mijali, nadchodzili, mijali i znów nadchodzili. Trudno mi to wyrazić. Bo strach przed nimi był silny, ale to on właśnie i mnie kazał patrzeć na tłumy.

JAN: Demonami są ludzie. Nie myśl, że w tej chwili myślę o jakimkolwiek wartościowaniu. Okre-

ślam gatunek. Wszystko, co nie jest nami, ma pozór demoniczny, a może i nie tylko pozór.

MARIA: Piękne demony wirowały dokoła. Krążyłam po magistrali pełna trwogi, pełna łaski. Już nogi gięły się pode mną — ty wiesz, krucha jestem i mała — lecz niosło mnie coś między nich. Oczy moje ścięły ludzi. W sekund wymiarze przeżywałam wszystko. Jednych bałam się, inni wydawali mi się zasługującymi na miłość. Spotkałam śniadego olbrzyma, którego twarz górowała nad cizbą jak wielki kwiat nad wodną szybą. I przeraziłam się ostatecznie, bo może rozdzieliły nas...

Wtedy przełamiał się magiczny mus. Uwolniono od smutku i śmiechu przybiegłam tutaj.

JAN: Widziałem jak biegłaś. Spłoszona byłaś, choć przecież tu, w kręgu ścieżek, które wydeptaliśmy promienisto, nic ci chyba nie grozi.

MARIA: Deptaliśmy je promienisto we dwoje, a teraz...

JAN: We dwoje...

MARIA: ...a teraz, tak mi się zdaje, troje nas będzie... O, Janku! Janku!

JAN: Nie płacz, żono, mała, sarnia żonko. Uspokój się. Będzie nas troje. Więc czemu się martwisz? Przeciw demonom i grozie nocy przeciw strachom południa więcej nas stanie. Pamiętasz, kiedyś była sama, tak jak i ja. Potem dwoje — może to literackie trochę porównanie, ale wiesz — czytamy — no tak, więc dwoje nas, jak dwie kościelne wieżycy. A dziecko? Ono będzie nawa i murem i umocnieniem.

MARIA: Już. Już nie płaczę. Księżyc mi się rozplynął we łzach, a teraz chmura go nakryła. I, Janku, zdaje mi się tak smutno, tak strasznie smutno, że tam... widzisz?

JAN: Tam jest pustka. Nic więcej.

MARIA: W dzień. Tak, w dzień. Tylko kiedy nie ma księżycy, mego towarzysza miłego, to noca tam coś rośnie.

Jeśli to krzak — straszny krzak. Jeśli zwierza — chyba ślepy. Ale najczęściej mi się wydaje, że to kapliczka grobowa, nie kościół nasz...

JAN: Powinien bym się rozgniewać na te alegorie. Przecież nie tam nie widzisz, bo wzrok masz ostry. I wiesz, że nic tam nie ma, wiesz o tym dobrze. Coś rzutujesz z siebie na mrok. Pomyśl. Masz jakiś żal.

MARIA: Tylko jeden. Dlaczego ty nienawidzisz ludzi? Książki cię tego nauczyły, nedoręczne

i pyszne książki. Kochałbyś ich, gdyby tak do ciebie modlili się, jak ja. Może byś nawet i mnie oddał za chwilę, w której świat upadłby przed tobą na kolana...

JAN: Rozżalasz się, a myślałem że jesteście sobie bardziej bliscy. Mówiłem ci już w niejedną noc miłości: trudno mi ich nienawidzieć. I po co? Ja nimi tylko gardzę. Poza kręgiem tego domu zaczyna się dla mnie pustynia, ugor udreki. Ty jesteś ptakiem moim i światłem i miarą.

MARIA: Kto gardzi, ten nienawidzi. To tylko dwa słowa.

JAN: Muszę się bronić atakiem. Nawet z tobą nie miałbym woli zwycięstwa, kochając ich. Właściwie dawi jak spazm to wszystko. Ludzkie najmniejsze sprawy — o, Mario, sercem — tyle to znaczy, co już oddać się w niewolę. Bo jakże? Żyją wspaniale czy ubogo, jakimże nieszczęściem jest ich podległość wobec tysięcy chwil! A jeśli nawet wyzwolą się i wzlatują, niedaleko lecą. A jeśli nawet daleko lecą, grom ich dościga. Jeśli grom nie doścignie, pustka zgładzi.

Mario, za naszym domem jest dno rozpaczy. Chciałabyś, abym tam poszedł?

MARIA: Sama już niewiem... Nie wiem... Będzie nas troje. Przybędzie ogniwo, ogniwo... Czegóż, księżycu złoty?

JAN: Czas do snu się ułożyć. Chodź do gotowalni. Może chcesz posłuchać muzyki, nim się rozbierzesz?

(Gdy ona potakuje głową, on odkręca gałkę głośnika. Czysta, strumienista muzyka bardzo cicha przelewa się przez parapet okna z oświetlonego wnętrza pokoju. Oboje odchodzą od okna).

GŁOS Z RADIOWEGO GŁOŚNIKA: Ukończywszy koncert, nadamy państwu za chwilę sygnał czasu. Uwaga! Uwaga! (słychać gong) Minęła godzina pierwsza.

(Czyjś nagły skok z przestrzeni obrywa drut anteny. Żarówki w głośniku gasną niespodziewanie).

JAN (przy głośniku): Coś tu się zepsuło. Mniejsza o to. Noc sama gra. Może nawet piękniej niż to pudełko. Nieprawdaż, Mario?

(Cisza. Księżyc toczy się po niebie. Coś ciemnego kłębi się z lewej strony sceny. Tętent bardzo rytmicznego tańca).

JAN: Śpiz już Mario? (gasi światło w pokoju, chwilę stoi sam przy oknie, potem odchodzi w głąb mieszkania, westchnąwszy) Zaczyna się...

SCENA DRUGA.

(Tętent tańca, coś jak pierwsze takty bolera. Księżyc nie ma. Ktoś miota się w ciemności. Rytm i mrok. Gdy się rozwidnia po przejściu chmury, widać pod drzewkami dwie postacie smukłe, tanczące, brązowe, półnagie. WYŻSZY ma w ręku kryształową kulę, NIŻSZY tańczy dokoła niego, wybijając rytm bosymi stopkami. WYŻSZY także rytmicznie powiewa jasną, słomianą grzywą. Gdy stanęli, widać, że są dziwnie podobni do siebie, mroczni a jasnowłosi).

WYŻSZY: Stań, skończ już.

NIŻSZY: Tutaj padali! Tutaj padali gęsto! To

mogiłka przecież! Poznają te drzewa, poznają. Sam je wiatrem sadziłem.

WYŻSZY: Przy takich podskokach łatwo możesz wpaść w łapy temu, co tam się kłębi. Znasz to?

NIŻSZY: Nie znam i nie chcę znać. Ale już grzecznie usiądę. Tylko gdzie? Może na oknie?

WYŻSZY: Naturalnie! Jeszcze byś urósł jak ludzie i zmieniłbyś się, wciągnięty w sprawy czasu. Przecież tam, dziecko ty moje, zegarek chodził. Przecież tam pudełka śpiewające czarują jak owczarze, ordynarnie i grubo.

NIŻSZY: Nic z czarów. Urwałem ten mie-

dziany promyczek radia pierwszym moim skokiem. Ale masz rację. I w ludzkie kręgi nie należy wpaść i w nieludzkie.

(Siadają pod drzewami. NIŹSZY kopie w ziemi dółek. Robi to dłońmi podobnie jak pies łapami, szybko i wytrwale).

NIŹSZY (nachylając się ku wykopanemu dółkowi): Zagraj, zagraj, nocko...

(Słychać jakby oddalona kapelę wiejską i cicho nuconą piosenkę: W polu lipieńka, w polu zieluna, listeczki opuściła...)

NIŹSZY: Ach, tylko klaskać w ręce! Może konie zarzą? Może kule świsną? Może nareszcie ludzie znów zaczną szabłami błyskać... Ale oni śpią pod tą piosenką jak pod kołysanki nutką. Ty wiesz, ty wszystko wiesz. Kiedy?

WYŹSZY: Ja wiem tylko wtedy, gdy ty mnie za rękę trzymasz. Daj dłoń! Psujaku karuzeli, oczko nienasyczone, chcesz wiedzieć? Może chcesz wiedzieć?

NIŹSZY: W kuli mi pokażesz, w kuli? Pozwolisz popatrzeć? Dobry jesteś, bardzo dobry, młodziku bez wieków i dni.

WYŹSZY: Daj dłoń. Patrz w kryształ. Co widzisz?

NIŹSZY (nachyla się nad kulą, aż mu czupryna zwisa): Gotycki anioł snopami trzęsie nad miastem. Ten symbol pamiętam: będzie wojna. Widzę też kościół wspaniały na skraj miasta. Te wieżycę, krużganki coś mi przypominają. Ach, to są ludzkie wieżycę.

WYŹSZY: Obróć kryształ. Co widzisz?

NIŹSZY: Obłoki migają wystrzałami. Pani nasza rozdwoiła się i zwielokrotniła. Sto tysięcy naszych pań chyli się ku ziemi i ręką pokłon oddaje. Obłoki wypchane samolotami lecą nisko, nad ich karkami. Widzę też obłok na ziemi. To strach przedśmiertny ludzi. Ach, będą padali! Będą padali! No, obróć kryształ...

WYŹSZY: A teraz, co widzisz?

NIŹSZY: Posąg biały pada na drogę, pod tank. Jak ślicznie miądzga go taśmy tej maszyny! Zaraz, zaraz... Coś mi się majaczy... To posąg z tego kościoła. Tak, już po katedrze. To i co? Ludzie sami to przecież robią... No, tylko krew została plamą.

SCENA TRZECIA

(Wionęła firanka u ciemnego okna. MARIA w bieli powłóczyściej wypływa i unosi się nad ziemią. JAN stąpa za nią, bardziej ziemski. Jest półnagi i przez to, oraz przez opaleniznę i słomianą czuprynę, podobny do tych co znikli. Od pasa tkwi w jakiejś sztywnej, złotolitej materii.

CIEŃ MARI: Wołali mnie. Wróżyli nieszczęść!

CIEŃ JANA: I ja słyszałem. Ale nie mówili nic ważnego. Wszystkich to czeka.

CIEŃ MARI: Widziałam raz lustro. Niesiono je przez ulicę. Kołysało się w tym lustrze, kołysało widziadło świata. A ja będę kołysała niedługo widziadło nas obojga. Dlaczego we śnie radośniej o tym wspominam, a na jawie z trwogą i żalem?

CIEŃ JANA: Dziecko, to młodość, zorza złotłosa. Tyle tylko.

CIEŃ MARI: Trwa smolista noc. Jej stopa sięga stąd aż ku miastu, gdzie płyną rzeki kamienne i czarne, jakich dawniej nigdy nie było.

To nie posąg był, taki mały posążek, jak ja... Nie, nie posążek — dziecko. Nigdy bym nie straszył dzieci... Są tu, czy u nas, to wszystko jedno, naturalnie, ale pocóż je tak śmiertelnie przerażać? Starzeją się w jednej chwili o wiele lat.

Dziecko poległo. Teraz widzę orkiestrę krzyków cmentarnych. Ptak lata nad nimi zamorski, piękny. Ogonkiem dyryguje. Jest księżyc, ale mi się we łzach rozplywa... Obróć kryształ. Posażku mi szkoda.

WYŹSZY: Co widzisz?

NIŹSZY: To jest cyrk. Drzewa się nad nim czają. O! O! Bomby lecą! Cyrk się pali! Znowu dymi ziemia. Ze spalenizną pomieszał się opar lęku. Ach, padają, padają dzielnicy i tchórzliwi. Już po nich. Samoloty roztrąca anioł gotycki, i patrzcie go! katedrą ognistą rzuca w kościół.

WYŹSZY: Poznajesz ten kościół?

NIŹSZY: Pewno! To oni. Nawa w gruzach, wieże się chwieją. Była posągiem ta nawa i posągiem, i takim ślicznym dzieckiem. To oni.

WYŹSZY: Nie oglądaj się ani na ich dom, ani w mrok. Przedświt blisko. Moja kula dogasa. Twoja muzyka skrzypiec zaczyna. Ukryjemy się na mostku, albo lepiej pod mostkiem. Jeśli mi podasz obie ręce, będę mógł zbudować podwodny dom.

NIŹSZY: Za obie ręce? Tylko pod warunkiem, że będzie z dwóch kolorów, z różowego i z takiego jak skrzydła tego nocnego motyla, który wczoraj za mną traścił na leśnej ścieżce.

WYŹSZY: Umykamy, Psujaku, bo jeszcze natknijemy się na śniadego olbrzyma jak ta Maria.

NIŹSZY: Takiś mądry, a wymówiłś ludzkie imię. I patrz, już się firanka porusza, już wywołana wlatuje. A i on za nią. Oboje są jak jedno. Nie wiem, czy będę się cieszył, kiedy padną wieże kościoła. Może i to takie rzewne, jak nawa, posążek, dzieciątko? Może zażnę żałować ludzi?

WYŹSZY: Zakop dółek muzyczny. Daj dłoń. Okręcamy się rytmem i hop, między drzewa!

(Tętniący rytm, niby bolero. Obaj znikają w miejscu, gdzie rozwidlają się wiotkie pnie. Jeszcze mignęły słomiane, rozwiane czupryny).

GŁOS NIŹSZEGO: Zaczyna się...

CIEŃ JANA: Trwa smolista noc. Jednoczy nas bardziej jeszcze miłość i sen i dur księżycowy. Jakie to dziwne: mam oczy, a są jak jaskinie. Mieszczę w nich ciebie, powiewając tu słodko i także ciebie na łożu, śpiącą. Tu poruszasz dłońmi, jak pływaczka wśród gwiazd, a tam dłonie te same leżą w koronkach poduszki.

CIEŃ MARI: Ku księżycowi to moje pływanie. Ku tobie miłość tylko.

CIEŃ JANA: To dosyć. Powiedz jeszcze raz tak słodko: miłość...

CIEŃ MARI: Miłość...

(Odzywa się głos bębna. Echo przynosi z podksiężycowej przestrzeni kroki wojsk. Cienie ploszą się. Zupełny mrok. Gdy księżyc wychodzi zza chmur, już tylko firanka powiewa u okna i słychać z wnętrza domu głos Jana).

GŁOS JANA: Zaczyna się...

SCENA CZWARTA.

(Na scenę wkraczają żołnierze z oficerami dwoma i małym doboszem. Ciemne kłębowisko z lewej strony znika. Księżyc jest coraz bledszy. Pod koniec widowiska przesuwa się za dom. Gra przedbrzaskowa na niebie).

KAPITAN: Plutooooo! Stój! W lewo front! Rozejść się!

PORUCZNIK: Siadajcie chłopaki. Rosa jest, ale co tam rosa.

DOBOSZ: Kiedy byłem mały, matka mi mówiła, że rosa to z łez, panie poruczniku.

PORUCZNIK: Z łez? Jak kot napłakał! Na wojnę to idzie, a o łzach i mamie opowiada! (Żołnierze siadają. Szepczą półgłosem).

KAPITAN: Niechże pan mu da spokój, poruczniku. Pan poeta? Pan esteta?

PORUCZNIK: Dobrze. Oto cytata:
To nie łzy, to tylko rosa, świtu mięsz,
nie istnienie, chyba lekkich muzyk gąszcz...

KAPITAN: To nie łzy, to zwilżyła nam brwi

Hełm na głowę! Wschodzi zorza bojów
[rosa...
[złotokłosa!

PORUCZNIK: Moja cytata piękniejsza. Co do pańskiej, słyszałem to już gdzieś, kiedyś, tylko jakby w lepszym kontekście. Ale w każdym razie...

(Wykonuje rewerans przesyadny. KAPITAN mu odpowiada tym samym. Siadają pod drzewkami, zdejmują hełmy. Teraz widać jak podobni są do nocnych tajemniczych gości i do Jana równocześnie. Jasne czupryny opadają im na czoła. KAPITAN jest wyższy, PORUCZNIK niższy).

ŻOŁNIERZE: W polu lipieńka, w polu zieluna, listeczki ozpuściła...

DOBOSZ: Mama moja tę piosenkę śpiewała.

KAPITAN: Nie, to przechodzi ludzkie pojęcie! Mimo wszystko widać, że wojnę wypowiedziano nam dopiero dwie godziny temu! Te cywilne nastroje, oficerowie cytujący poezje, żołnierze śpiewający lirycznie, jak w misterium ludowym... nie, to przechodzi ludzkie pojęcie... i jeszcze ten malac: mama i mama!

PORUCZNIK: Wodzowie nieraz poezje czytali. Bielizny w tornistrach nie było a tomiki poezji znajdowały się. I co pan powie na to, panie kapitanie, tak źle na tym nie wyszliśmy...

KAPITAN: Mama i mama... U matki we dworze był taki strzelec, który znał sekrety układania sokołów. Nieraz polowaliśmy tak właśnie, po staropolsku, po królewsku. Puszczało się berkućta z rękawicy. Śmigał, panie dziejski, aż słychać było jak powietrze drze skrzydłami...

DOBOSZ: Mama nieraz mawiała do mnie: sokoliku...

KAPITAN: Jeśli jeszcze raz z tą mamą wyjedziesz — pod karabin postawię!

PORUCZNIK: Niechże pan mu da spokój. Chociaż — mania prześladowca, czy co — zdaje mi się, że i to zdanie już gdzieś w wierszu napisałem... Taką tak. Ale oto piękna cytata:

Wychodzisz jak piana z toni,
ogród cię wita nadbrzeżny gubiącą owoc
[morwa...

(Słup światła z reflektora omiata niebo. Słychać brzęk śmigieł. W przedświcie zaroilo się. Żołnierze padają za pagórkami, pod drzewami, pod domem, szukając ukrycia. Oficerowie leżą za rogami domu, dobosz — po lewej ręce, gdzie nocą wirował mrok).

KAPITAN: Zaraz nas przywita „gubiąca owoc morwa”...

PORUCZNIK: Ale przyzna pan, że to piękne?

ŻOŁNIERZ: Nim doszliśmy do granicy, on tu przyleciał.

INNY ŻOŁNIERZ: Patrzcie jak doboszem trzęsie. Pewno mama mówiła: nie idź na wojnę, nieboże, jeszcze się tam pokaleczycie albo co...

TRZECI ŻOŁNIERZ: Coś mi się widzi...

(Seria wystrzałów z karabinu maszynowego. Lekki okrzyk dobosza, który wstaje, rozkrzyżowuje ręce, pada na kolana i znowu wstaje. Chwilę stoi ze zwieszoną głową, potem pada na twarz. Brzęk samolotu oddala się).

ŻOŁNIERZ: Dostał, biedak!

INNY ŻOŁNIERZ: Przeczuwał!

(Grupują się dokoła dobosza. KAPITAN pochyla się nad nim. Razem wygląda to jak gromadka, znana nam z malarstwa; temat: zdjęcie z krzyża).

ŻOŁNIERZ: No, ten ma dość! Cztery kule.

DOBOSZ: Te wystrzały! O mamol! (kopie ręką dołek w ziemi, ale nie może). Tak mi się coś majaczy... Gdybym mógł ten dołek wykopać, to bym usłyszał, jak Polska gra. Ale już tak słabą mam rękę...

ŻOŁNIERZ: Ja wykopię...

DOBOSZ: To nie to samo, nie usłyszałbym nic. Ach, nie, nie mogę kopać, no nie mogę. Pałeczki to możebym jeszcze utrzymał...

JAKIŚ ŻOŁNIERZ: A, cholera...

KAPITAN: Bez fochów! Wojna! Umiera pięknie ten dzieciuch. Za ojczyznę!

DOBOSZ: Czy ja już umieram? Zaśpiewajcie, albo...

PORUCZNIK: Co, dziecko, co albo?...

DOBOSZ: Już nic. Ja tylko tak. Niech mnie pan weźmie za rękę i palcami porusza. Żebym mógł, to bym jeszcze tylko wygrał te strzały, te wystrzały... Nie mogę... Mamol...

JAKIŚ ŻOŁNIERZ: A, cholera...

PORUCZNIK: Już po nim. I tak długo to trwało. Cztery kule.

KAPITAN: Ot i wojna. Ot wam i poezja! Weźcie biedaka we dwóch, pochować go trzeba na rozstaju. Krzyż tam czeka gotowy...

W dwuszeregu zbiórka! Bacność! Czworkami na prawo zachodź! Plutooooo! Marsz!!

(Oddział odmaszerowuje unosząc ze sobą małego dobosza. PORUCZNIK wraca po chwili, podnosi z ziemi bęben, patrzy chwilę na dołek wykopany przez umierającego i bierze w dłoń garść ziemi. Mruczy pod nosem:)

PORUCZNIK: Zaczyna się...

(Odchodzi.)

SCENA PIĄTA I OSTATNIA.

(W oknie zjawiają się MARIA i JAN. Są w nocnych strojach. Firanka powiewa.)

MARIA: Śniły mi się krzaki mokre jak psy. Były czerwone. A psy były także w tym śnie. Szczeły tak, jakby kto z karabinu strzelał.

JAN: Cóż sny są? Jako chleb światła śmierci spożywamy je z troską lub zachwytem. Skoro zżyliśmy je, nic już znaczyć nie mogą. Bochny snów mogą wyrażać jedynie pozory dobroci, zawarte w złym świecie śmierci i złym świecie życia.

MARIA: Nie mów tak, bo zasmucasz mnie znowu, a wstałam po krótkim spoczynku uciszona. Byłam sama z wieczora, choć miałam cię przy sobie. Śpiąc dotknęłam czegoś dającego otuchę, czegoś rodzimego bardzo. Jest mi tak, jak bym obcowała z ojcami i dziadami. Oni mnie uweselili.

JAN: Przodkowie i my, to ojczyzna odmieniająca się w wiecznej grze. Ta gra nie dąży ku rozwiązaniu i dnia ostatecznego nie ma. Ale to, co powiedziałeś o ojcach i dziadach, przywiodło mi na myśl malowidło bardzo kiepskie, na którym figurują w patetycznych pozach wszyscy nasi święci narodowi i wodzowie i wieszczowie i męczennicy.

MARIA: Znowu szydzisz. A ja ojczyznę widzę inaczej. Na piramidalnych słupach światłości, w chmurze zapachów unosi się pole, zwykle polskie pole. Trochę kłosów, trochę okrytych kurzem bylic. Koniczynę widzę. I to nasi są ojcowie, tak mili sercu.

JAN: Naszym przyjacielem jest poeta. I łatwo to poznać można po tym co mówisz.

MARIA: Ale on jest z kościoła wojującego, on wybrał walkę tak, jak my wybraliśmy miłość.

JAN: Kto wie, komu lepsza cząstka przypadała, ptaszku mój?...

MARIA: O tej ojczyźnie to tak, od dzieciństwa wiem. A to, co on mi opowiadał, o czym innym było. Kochał noc. Ukazywał ją w zwierciadle niesłychanym i niewidzianym. Powynał nazywać tchnące prasłowiańskim borem, aby dać imię stworom nocy. Kwiaty mięsiste, biegające w mrocznych kółeczkiem i lekko jak pajęczyna — tak mówił — to żęginy.

Kto chodzi nocą, musi wiedzieć, że towarzyszy mu dobrotliwe zwierzę niewidzialne, jonka, że księżyc zakrywają nie chmury ale skrzydła olbrzymów metalicznych. Ich imię: poletnice.

Opowiadał o wazkach wielkich jak dłoń, a nie mogących fruwać. Chodzą po ziemi, chodzą, póki nie schwyta ich okropność podziemna, roslęga. Z podziemi, jeśli ktoś umie wykopać odpowiedni dołek, słysząc jak tam grają...

JAN: O tym słyszałem, tylko jakoś inaczej. Ach — tak — to noc gra w dołkach ziemnych. Kiedy byłem mały, pasterze mi to pokazywali. Teraz chyba nikt nie umie takiego dołka wykopać.

MARIA: On nie mówi świt, jak my, tylko: czasu jutrzeźnego. On nie mówi drut radia, tylko promyczek radia.

JAN: Och, jak to słońce oślepia! Mario, coś mi wpadło w oko... ten ostry blask... Pomóż mi, Mario...

MARIA: Zaczekaj... To chyba to... Nie boli cię?

JAN: Nie, już uleczyłaś, ale łyż mnie pieką. Rozpłynęło mi się to słońce we łzach. Będę miał oczy zamknięte. Mów dalej.

MARIA: Wiesz! Widzę go!

JAN: Kogo?

MARIA: Nasz przyjaciel idzie tam doliną. I nie sam. Z orszakiem. Nie otwieraj oczu. Opoiem ci wszystko co widzę bardzo dokładnie.

JAN: Mów, bystre oczko, opowiadaj...

MARIA: Nasz przyjaciel idzie przy jakichś noszach czy marach. To noszą żołnierza. Jaki mały! Ależ to dziecko jeszcze. I ten płaszcz zbyt obszer-ny, i ten hełm opadający na czoło... Biedactwo... Czy nasze dziecko też tak będą ludzie nieśli?

JAN: Patrz w kryształ. Co widzisz?

MARIA: W jaki kryształ? W dolinie jest pluton żołnierzy i jakiś oficer, idą za marami. A przy nich w tańcu i podskokach płasza winny cień. Grzywa jego miga w słońcu jak słomiany płomyk. Drugi taki sam, tylko wyższy, idzie statecznym krokiem. Słyszysz bębenek? Coś mi przypominają te takty... chyba bolero... Ach, Janie, spojrzaj, jak wspaniale to wygląda, ot tam...

JAN: Nie mogę, oczy mnie pieką. Lepiej opowiedz, co widzisz. Dla mnie, póki mnie pieką łyż, trwa smolista noc...

MARIA: Schodzi spod zorzy złotokłosej...

JAN: Słyszałem to gdzieś...

MARIA: Co mówisz?

JAN: Nic już, nic... Spod zorzy złotokłosej...

MARIA: Spod zorzy złotokłosej wojsko pancerne. Chorągwie powiewają wielkie, białe i srebrne. Tak wyobrażałam sobie zawsze pułki Fortynbrasa. Jest i sam Fortynbrasa. Jedzie półnagi i dziwny. Trochę do ciebie podobny, trochę do tego tańczącego cienia. Szatę ma od bioder niesłychanej piękności. Nie w takim blasku cesarze wschodni chodzą...

JAN: Słyszę jakby daleki śpiew.

MARIA: Bo śpiewają. Nie poznajesz: „W polu lipienka, w polu zielona...” Ale chorągwie łopocą i wiatr poranny cicho odnosi. Wiesz? Za Fortynbrasem noszą sztandar z napisem: non omnis moriar...

JAN: O, bystre oczko!

MARIA: I haft widzę. Są na sztandarze zarysy kościoła. Wieżycy poznaję... Ja ten kościół znam!

JAN: I mnie on nie jest obcy!

MARIA: A teraz, teraz, za tymi rycerzami cień jakiś biały, powiewny... Może to duch przywionął w biały dzień? I bębny słyszę... Jak smutne...

JAN: To werbel żalobny. Co widzisz?

MARIA: Nie umiem ci tego dobrze wytłumaczyć, ale widzę potrójnie, poczwórnie zarazem. Jest tam biały cień. I ten cień, to jakby ja, ale też jakby całun, czy sztandar na trumnie. Laweta pod nią dudni. Tupią konie żalobne. Ale kiedy werbel grzmi, to mi się ta trumna okryta sztandarem odmienia i widzę pole, polskie pole na słupach światłości. Koniczyna pachnie aż tu...

JAN: Żono moja, żonko, może za naszym domem coś więcej jest, nie tylko dno rozpaczy? Tak mi to przyszło na myśl, gdy opowiadasz o tamtej dolinie...

MARIA: Kochałabym cię jeszcze mocniej...

JAN: Więc, posłuchaj Mario... Bo wiesz... Nie... Teraz i ja nie umiem powiedzieć: skąd i dlaczego... Ale tak, Mario! Tak!

MARIA: Zaczyna się!
(Padają sobie w objęcia),

NA BEZDROŻACH MITOLOGIZMU

Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab.

Goethe: Ifigenia.

Ilekcje wyrozumieć chcemy współczesne nasze cnoty i grzechy nasze, sięgać musimy do romantyzmu, a raczej do tego wielkiego prądu, którego właściwy romantyzm był tylko fragmentem, a który słusznie określono jako idealizm. Że tak czynimy, to znów się dzieje za sprawą romantyzmu, gdyż nikt inny a właściwie on jest odkrywcą historii i twórcą historycyzmu. On nauczył nas, że spraw ludzkich niepodobna rozważać in abstracto współczesnej chwili, i tak obdarzył — inni mówią: zakaził nas — historycyzmem. Cokolwiek by jednak złego powiedzieć o historycyzmie, który opętał jakoby Europę, a złego mówiono o nim wiele, niepodobna zaprzeczyć, że narodził się on z rzetelności, z jaką podchodzono do wszechzagadnień współczesnej ludzkości, z pragnienia rozświetlenia jej drogi w twórczym parciu naprzód. Ambicją jego nie było ani zrobienie z żywego człowieka coś w rodzaju upiora, który dopiero przez przejście się w wierciadłe dziejów może poczuć się realnością, ani też zapędzenie go „ins dunkle Reich hinab” domniemań i mitów, który już niczego człowiekowi rozświetlić nie tylko nie mogą, ale rzecz ważniejsza, nie chcą. Wprost przeciwnie. Romantycy widzieć chcieli w historii komentarz do życia, przez historię pragnęli zrozumieć życie, a naprzekór temu, co się powszechnie sądzi, ich historycyzm był organem racjonalistycznego w gruncie rzeczy ujęcia procesu płynnego istnienia, przez który myśl historyczna miała wieść niby biblijny słup ognia. Wertując dzieje, szukali w nich swoich ojców, wpatrywali Janów Chrzcicieli swoich własnych namietności, pragnień i pożądań, „uzasadniali” siebie historycznie, i w tym rozumieniu historia stawała im się mitem, ale mitem w sorelowskim tego słowa znaczeniu, jako sztandar własnej ich aktywności i własnych celów. I nie można powiedzieć, by tak czyniąc byli w niezgodzie z „sumieniem dziejów”. Nie wyrzekali się swej świadomości, a tylko ją uwyppuklali i określali, posługując się przy tym antologią dziejowych zdarzeń. I jeśli co możnaby właściwie zarzucić romantykowi, to chyba to, że mimo wszystkie ich kultury podświadomego i nieświadomego, historia była dla nich narzędziem racjonalizacji, w zasadzie zdrowej i koniecznej. Możliwość podejrzewać, iż nie ma tkwiło w tym ośmnastego wieku, który w racjonalistyczny kostium przyodziewał całkiem nieracjonalistyczne pasje.

Ale już wówczas, za romantycznych czasów, nie brakło odznak, iż historia z ancillae vitae go-

towa stać nie magistra nawet, ale domina vitae. Niemal w tym oczywiście rolę odegrał heglizm, w którym jeśli tak powiedzieć można, historia „niezależniła się”, stała się czymś w rodzaju l'histoire pour l'histoire. Ze sztandaru walki człowieka o siebie przemieniła się w metafizyczną receptę na życie, której dojsć, którą odczytywać z hieroglifów przeszłości, stało się prawdziwym zadaniem historyka, historyka — filozofa, a nade wszystko mitologisty. Do wyżyn aksjomatu podniesiono przekonanie, że tym niezawodniejsza jest orientacja w świecie doraźnych zadań, im historia jest nie tylko lepiej „rozumiana”, ale i znana. Wszyscy profesorowie tej dyscypliny naraz poczuli na katedrach skrzydła proroków i... ministrów. I w samej rzeczy, były to w wielu krajach czasy rządów historyków, którym „wrodzony” zmył historyczny jakoś nie podszeptał, że czym innym jest historię wyklądać, a czym innym ją — tworzyć. Ale to odmienny już ustęp rozdziału o historii w ostatnich dwu wiekach. Wielu jednak których nie opanowała żądza stosowania metafizycznej recepty in practicis, opętało co innego: pragnienie dojscia dna dziejów. Kto wie, co tam za skarby, a raczej prawdy nieprzeczuwane kryją się jeszcze głęboko pod tym, co znalazło się w zasięgu ludzkiego poznania? A więc bić sztolnie, kopać szyby, głębiej i jeszcze głębiej, aż do — niewiadomego, zakrytego, tajemniczego, a tak nęącego. I nic nad archeologię! Przyniosło to też rzeczywiście niezwykły rozwój — naukowej i przenośnej — archeologii, która też jest dziecięciem romantyzmu, ożywiło to nawiądzania prawdziwych historyków, nie metafizycznych lekarzy ludzkości, ale stworzyło również coś, co niepomierne mocniej miało zaważyć na przyszłych dziejach Europy: mitologizm.

I romantyzm znał mitologizm, ale w bezgrzesznej jeszcze formie, jako aureole dziejów, utkaną z fantazji poetyckiej i z naiwnych uogólnień. Mickiewiczowskie „Ne-boh-odno-car”, to próbka tego mitologizmu — poetyckiego. Lecz ów mitologizm, który powstał później na gruzach romantyzmu, innego był ciała i innej duszy. Właściwym, najgłębszym jego źródłem był — sceptycyzm. Zrodziło go pokolenie Hamletów (wybacz mi to, książę duński!), życiowych i naukowych. Dnem jego był rozkład romantyzmu, obumieranie jego woli życiowej, zanik jego idealistycznego wymiaru świata. Historia przestała być w nim skrzydłami ludzkości, a przemieniła się w kalecze jej kule.

Pytanie „skąd?” zawiera niedopowiedziane pytanie „dokąd?” — powiada jeden ze współczesnych mitologistów niemieckich, nie zdając sobie zapewne

sprawy, że sformułował główny i najgłówniejszy grzech intelektualny mitologizmu. Romantyzm nie pytał „dokąd?”, to znaczy nie pytał dla jakich celów chce użyć swej wiedzy historycznej. Wola jego była mocna. Nie trapiło go hamletyczne pytanie: czym jestem? i na ideale swym zakładał swój świat. Ale jeszcze mniej było dlań legitymacją: „skąd?”. Skądkolwiek bowiem jestem, nie jestem niewiadomą. Dopiero postromantyczne pokolenie mogło postawić to trwożliwe i nihilistyczne pytanie: czym jestem? i nie znaleźć na nie odpowiedzi, aż dopiero w — historii. To tam gdzie głęboko podemną, w niektórych pokładach dziejów, tajemniczym „skąd?” jestem prawdziwy niewiadomy ja, i aby dowiedzieć się czym jestem, trzeba zejść jaknajgłębiej w sztolnie dziejów, do pradziejów, do „ur-ur-ur”, a kto wie, może dokopie się siebie. Dna, królestwo za dna! brzmi okrzyk, a im głębszych dowierzę się pokładów, tym niezawodniejsza pewność, iż odnajdę siebie. A więc wędrowka na dno dziejów, jako program, aby w końcu dojść do niezbitego przekonania, że — mnie niema, i że jeśli istnieje, to jako funkcja jakichś nigdy właściwie całkowicie nie poznawalnych sił, jakiegoś ciemnego i ślepego żywiołu, jakiejś mrocznej i mitycznej „pragermańskości”, która będąc sama tajemnicą, wszystko postrzega jako tajemnicę, napełnioną kosmicznym łoskotem żywiołów z przed pierwszego dnia stworzenia. A wśród żywiołów żywioł, nie człowiek ostać się może. Trzeba więc zmienić się w żywioł, wyznawać religię żywiołu, być żywiołem, dla którego nie istnieje — wstrzymajcie śmiech, przyjaciele! — historia. Co najwyżej pra-pra-prahistoria, ciemne skłębione moce, ale nie kultura grecka czy chrześcijaństwo. To za płytkie pokłady dla tych „głębinowców”, dla tych czcicieli historycznego „podświadomego, tych „Urgermanów”, entuzjastów dziejowego freudyzmu. Któżby to śmiał przypuszczać, że ten „parszywy Żyd”, należy do, utajonych coprawd, proroków czego? — czy domyśliłeś się miły czytelniku?

Ten stan duchowy kryje się za mitologizmem, którego jeśli nie ojczyzną to w każdym razie najpodatniejszym polem doświadczalnym stały się Niemcy ostatnich kilku pokoleń. To kryje się w apokalipsie „glacialnych” teorii Hörbigera, to stano- wia prawdziwą treść poszukiwacza „początków dzikości”, zniemczającego Holendra, wydawcy przedpotopowych kronik, Hermana Wirthe, to w upartych odkrywcach platoniskiej Atlantydy, wszystko jedno, czy są nimi L. Frobenius czy też Rudolf Steiner, to w książkach monachijskiego profesora o francuskim nazwisku, Edgara Dacqué, i w tylu tylu innych dziełach, głoszących pochwałę magii jako prawdziwie „religijnego” światopoglądu, i tak dalej i dalej. Niedorzeczne komplikacje, jak książka Karola Georga Zschaetzscha (który nawiasem mówiąc, wypisywał mnóstwo niewiarogodnych rewelacji o „prahistorii” Polski) na temat pochodzenia i dziejów „Ariów”, cieszy się tam, choć spore tomszeczki, niebawymalym powodzeniem i licznymi wydaniem, bo wyzwała owo „ur-ur-ur” w duszach, żadnych ciemności żywiołu i apokaliptycznego chaosu, wcielonego w pragermański mit. Aby jednak być sprawiedliwym, przyznać trzeba, że nie w samych tylko Niemczech rozplenił się kult mitologizmu historycznego. Nie jest wolna od tego i Anglia, gdzie grasuje znana mitologiczna teoria o pochodzeniu Anglików od dziesięciu zaginionych

pokoleń Izraela (istnieje gruby, tysiaccronicowy tom, bardzo poważnie zajmujący się tym „zagadnieniem”), a i u nas nawet sięgając początko do „prasłowiańszczyzny”, tego złotego wieku ur-słowiańskiej zżywności i prąteżyny.

Powie ktoś: to nie historycy, to maniacy, owi mitolodgiści, persony niepoważne i małoważne. Że niepoważne, na to od biedy można się zgodzić, ale, że małoważne, o, co to, to nie! Herman Wirth doczekał się całej „gminy” swojej, a prof. Dacqué — może jeszcze najpoważniejszy z nich wszystkich — jest autorem podręcznikowym w szkołach niemieckich, niemal narówni z innym mitologistą, tym razem francuskim, hr. Gobineau. Nie można niedoceniać tych zjawisk jedynie dlatego, że sprawcami ich są t. zw. „ciemne lby”. Nie można też zajmować wobec nich takiego stanowiska, jak wybitny zresztą pisarz hiszpański — ostatnio bardzo przez Niemców pusowany — Jose Ortega'y Gasset, który sądzi, iż tym mitologizmem historycznym zmęczona psychika europejska „ucieka od rzeczywistości, szuka sobie miejsca sama nie wie gdzie — w dalach, głębiach, w obczyźnie”. Może tak się przed wojną wydawać mogło, że to jest zwykła germańska „Träumerei”, ale fakty dziejowe mówią nam dziś coś całkiem innego. To nie jest ucieczka od rzeczywistości, to dokopanie się do rzeczywistości, ale jakie? Rzeczywistości wcielonej apokalipsy, zbiorowej pragermańskiej sprawiedliwości i moralności rzezi z jakiejś fałszowanej kroniki Ura Linda czy autentycznej i odpowiednio skomentowanej Eddy. Nietyle bo prawdziwi historycy, choć i oni są zakazani dziś mitologizmem, ile ci właśnie mitolodgiści, popularyzatorzy dawnych haseł nacjonalistycznych i twórcy nowych, hypernacjonalistycznych, zrywających z kulturą europejską i chrześcijańską dla wyznawania „boga rzezi” Wotana czy Thora (cały neoroganizm neoniemiecki z kultem „des deutschen Gottes”, jest dziełem mitologizmu; i myśmy też zaczęli mieć swoich chwalców słowiańskich i „polskich” bogów), stworzyli to powietrze, w którym dojrzała dzisiejsza „burza nad Europą”. Bo może to nie jest historia (w znaczeniu dziejopisarstwa), może to nie jest filozofia, ale światopogląd jest to napewno, a i psychologia również. I jest to światopogląd i psychologia obowiązująca bardziej niż nam się wydaje. Jeden tylko przykład wystarcza. „Znacwy” stosunków niemieckich głęboko byli tym zdziwieni, że przewrót hitlerowski nie przywrócił panowania Hohenzolernów. Zdziwiona była też i cała Europa. Tylko jedni Niemcy nie byli tym zdaje się zdziwieni. W jednej z popularnych książek mitologicznych, traktujących o pragermaństwie, wyczytać można czarno na białym, że Germanie, wbrew opinii Tacyta, owi niezępsuci jeszcze Germanie (Boże moji, kiedy się oni już puz poczeli!) nie uznawali książąt, lecz tylko wybieralnych „führerów”. Oczywiście, nie dlatego Hohenzolernowie nie wrócili na tron, że coś podobnego stwierdzono w popularnej książeczynie, lecz zapewne i z pewnością z innych powodów, ale te powody dziwnie się rymują z tezami owej książeczyny, i rzecz dziwna, realizują się jakoś w życiu. Bo mitologizm przy całej swej historiograficznej naiwności i bzdurowości, przy „arcyśmiałych” hipotezach, które uznaje się za dowiedzione fakty, przy zupełnej dowolności w traktowaniu zdarzeń i dowodów historycznych i wręcz fantastycznym żonglowaniu nimi, to dokopanie się do rzeczywistości. A jakież? O tym mówią czerwone afisze z długimi listami

rozstrzelanych na ulicach Warszawy. Mitologizm to nie jest novalisowska ucieczka „ins Blaue hinein”, ale raczej, a nawet napewno „ins Blutige”. Bo że to jest ucieczka — „ostatniej generacji romantyzmu”, powiedziałyby ktoś złośliwy — to wydaje się prawdopodobnym.

Jest to też ucieczka, ucieczka Kalibana przed zwidem Ariela, przed romantyzmem, idealizmem i wszystkim tym, co na przełomie poprzednich wieków tak wysoko wzniosło serce europejczyków. Nieswojo czuli się panowie mitologii w tej ariellowej atmosferze i zapragnęli rzeczywistości. Znaleźli ją, grubą, pierwotną, kalibanową, poniżej progu człowieczej świadomości, poczuli się z tą rzeczywistością jednym, uznali się nie za wolnych ludzi, ale za tajemnicze narośle na pniu dziejów (nadewszystko pradziejów), i odwrócili modus wartościowania. Historia nie ma być odtań komentarzem do życia, bo to pachnie romantyczną „samowolą”, nierealnością, snem, ale naodwrot: życie ma się stać komentarzem do historii, bo primum stanowi historia, jej „postulat” podporządkować należy wszystkie te tam marzenia, a co z niej nie może wywieść swego rodowodu, niema prawa do istnienia. Jeśli z rodowodu tego wynika, że człowiek jest w 95 procentach zwierzęciem, należy na człowieka patrzeć jak na zwierzę, należy — być zwierzęciem. Taki jest „nakaz” historii, a nie żadne jakieś wzloty, idealizmy i inne zwracania głowy. My nie tworzymy dziejów, dzieje tworzą nas, a czym jest materia ich, o tym z wywodów mitologistów wiadomo: ciemnym żywiołem. Bądź więc ciemnym żywiołem. W porównaniu z tym nawet Marks, który ponoć zaśmiewał się czytając Don Kiszota, wydaje się być Don Kiszotem, nie mówiąc o Heglu z jego pochwałą „rozumnej”, t. j. pruskiej rzeczywistości, którego wszystkie grzechy ujawniły się w mitologicznych jego wnukach i prawnukach. Oni obaj jednak wydają się jeszcze niepoprawnymi „idealistami” w porównaniu z wyznawcami „des Urspruenglichen”, z realistycznymi miłośnikami przed wiekowej krzepy i bru-

talności, jako jedynych narzędzi sprawiania dziejów. Wojna, zabór, rzeź, gra ciemnych instynktów, o tym mówi odkopana aż do dziewiczej ziemi historia mitologistów. Wojna, zabór, rzeź, gra ciemnych instynktów, to również jedyny program na przyszłość. Tego „uczy” historia. Trzeba być jej wiernym, po trzykroć wiernym.

Że to wszystko jest jedną z najgorszych odmian romantyzmu, jako pojęcia sentymentalnego, że pachnie to wszystko jakimś kalibanowym mistycyzmem „prachuci”, to leży jak na dłoni. Naprawdę szukać rzeczywistości tam, gdzie nie można znaleźć człowieka, wiecznie przełamującego stygmat grzechu pierworodnego (mitologiiści, konsekwentnie, nie lubią pojęcia grzechu pierworodnego, za to „raj utracony” pierwotności posiada ich miłość). Naprawdę w wszechobejmującym kulcie prainstynktu upatrywać jedyny motor dziejów i ich prawdę, zawierając „ślepemu wyzuciu” jako nieomylnemu drogowskazowi na rozstajnych drogach istnienia. Bardzo to oczywiście „głębokie”, ale z realnością tym bożyszczem mitologistów, lubujących się w mistycznych dreszczykach obrowania z tajemnicą, niewiele to ma wspólnego. To tylko niewybredny, bardzo niewybredny sentymentalizm, który zawsze lubi błędzić poomacku, gdyż tylko w mroku przystawać można nie z prawdą, ale z upiorami, a upiory, to towarzystwo, w którym mitologiiści czują się najlepiej. Bo zaiste mogliby powiedzieć oni za poetę, że im oczy uszy niepotrzebne. Najlepiej bowiem widzi ten, kto nie widzi. „Homero-wa” ślepotą jest więc ich organem poznawczym, ślepotę tylko wyczytują z przeszłości i na ślepo chcą tworzyć przyszłość. Ślepotą jako szczyt historycznego widzenia! Ce ca. Cóż więc dziwnego, że chwila dzisiejsza wygląda tak, jakby sam Demiurgos oszalał i na ślepo wymierzał ciosy, miazdzące ludzkość? Tymczasem to nie Bóg oszalał ale całkiem ktoś inny. A w licznym zastępie „tych innych”, mitologiiści nie na szarym bynajmniej znajdują się końcu.

S P O J R Z E N I A

„Taka to i wolność”

Sowiety przeżywają znów paroksyzm „liberalizmu”. Po religijnym, przyszła teraz kolej na narodowościowy. Na wysokim Kremlu postanowiono, że każdy naród sowiecki ma zażywać najzupełniejszej wolności. Własne przedstawicielstwa dyplomatyczne, własne wojsko itd., o ile oczywiście dany naród życzy sobie tego będąc. Bo jeśli nie będzie sobie życzyć, to nie. W każdym razie narodowościowy raj został „konstytucyjnie” zapewniony,

oczywiście pod opieką jednego i niepodzielnego NKWD. A prasa zachodnia udaje, iż wierzy, że powstało nowe commonwealth narodów, tym razem rosyjskie.

Raj rajem, ale jak to wyglądać będzie w praktyce? Przecież i dotychczas Związek sowiecki cieszył się „najdemokratyczniejszą konstytucją świata”, ba! każda republika i każdy naród miał prawo wystąpić ze związku (ale niechby tylko spró-

bował!). Czy do tych doskonałości ustrojowych można było coś jeszcze dodać? Ostatnie „uchwały” pokazały, że jednak można. Aż dziw bierze, choć nie dziw. Bo papier cierpliwy. Tylko praktyka, tylko rzeczywistość jest nie tyle cierpliwa, co cierpieliwa. Jeden mały, malutki szczegółik pokazuje lepiej, po czemu łokieć sowieckiego liberalizmu, niż grube konstytucyjne foliały. Taki właśnie szczegółik pozwolimy sobie tu przytoczyć.

W roku Pańskim 1941 do Mińska Litewskiego, gdzie mimo bezprzykładnych prześladowań i masowej zsyłki Polaków na Syberię, zachowało się jeszcze sporo ludności polskiej, zjechał z Grodna czy Białegostoku zwoityzowany teatr polski. Rozlepiono polskie afisze, zapowiadające polskie przedstawienie, polskiej sztuki, ale cóż — ani jeden

Polak miński do teatru nie zajął nawet, przeciwnie, omijał go dalekim zakosem. Dlaczego? pytali zdumieni aktorzy polscy. Oto dla tej prostej przyczyny, że odwiedzenie teatru polskiego przez osobnika podejrzanego o przynależność do narodu polskiego, wywołałoby nieuchronnie wywiezienie amatora polskich przedstawień wraz z całą rodziną za Ural. Dobrze o tym Polacy mińscy wiedzieli. I grał sobie teatr polski w Mińsku Litewskim, na dowód niestychanej tolerancji kulturalnej Sowietów, tylko ani jeden Polak nosa w nim pokazać nie mógł. Taka to jest sowiecka praktyka, i taka to i wolność. I nie wydaje się, by nowe ustrojowe wyuczyny sowieckie coś w tym zmieniły. Ot, jeszcze jedna dekoracja w starym, patiomkinowskim stylu.

Kulturtregerzy w Krzemieńcu

Czarująca architektura Krzemieńca miała w Polsce swoją sławę. Dworki tego miasteczka, jego drewniane domki z końca XVIII i początku XIX wieku, stanowiły jedyny w swoim rodzaju pomnik budownictwa polskiego, uwieczniony w przeliczonych obrazach, rysunkach, sztychach młodych naszych malarzy. Ostatnio zdystansował w tym Krzemieniec nawet Kazimierz nad Wisłą. Również obcy ulegali temu urokowi krzemienieckiego krajobrazu miejskiego. Gdy niemieckie oddziały zajęły Krzemieniec, znalazł się wśród nich pewien architekt, który, aczkolwiek Niemiec („i Niemcy są ludzie”, choć się to do prawdy podobnym nie wydaje) prosto oszalał z zachwyty, biegał po Krzemieńcu, mierzył, szkicował, rysował, i wszem wokół głosił, że skoro tylko wojna się skończy, on wróci do Krzemieńca, by gruntownie zająć się opracowaniem jego budownictwa. Przyznać bo trzeba, że Niemcy posiadali sporo tegich i wrażliwych historyków sztuki, których horyzonty nie były bynajmniej zaściankowe.

Entuzjastyczny Niemiaszek nie będzie miał jednak po wojnie do czego wracać, gdyż w międzyczasie zaopiekowały się architekturą krzemie-

niecką miejscowe władze niemieckie i zniszczyły ją jak to tylko one potrafią. Jakiś tępy „Baumeister aus Krachwinkel” dostał polecenie uporządkowania miasta i uporządkował je tak gruntownie, że nic z jego budownictwa nie zostało. Ofiarą zapalu „Baumeistra” padła przedewszystkim architektura drewniana. Stare domki mieszczan krzemienieckich, nawet te, których nie dotknęły wypadki wojenne, rozebrano, a materiał użyto na „kriegswichtige Ziele”, to jest do palenia w piecach itd. Tylko niektóre dworki murowane, między innymi ponoć także i dom Słowackiego, ocalały. Krzemieniec jednak jako całość architektoniczna, która przetrwała nawet rządy Moskali, ten bezcenny zabytek polskiej kultury na Wołyniu, uległ całkowitej zagładzie. Teraz już jest w Krzemieńcu „porządnie”, tak porządnie, jak to sobie tylko pan baumeister z niemieckiej Psiej Wólki wyobrazić może. Ten sam los spotkał przypuszczalnie i inne miasta na Wołyniu, n. p. Aleksandrię, której budownictwo drewniane stanowiło jakby jakąś fantastyczną dekorację do „Księdza Marka”. Ano, grasuje „kultura” niemiecka. Tak to „quod non fecerunt Russi, fecerunt Germani”.

W kraju góralów

Nikt w Europie aż po 1939 rok nie przypuszczał, że na obszarze jej istniał jakiś nieznany naród. Nikt też z pewnością nie sądził, że historią narodu może być jedynie archeologia. A jednak Niemcy dokonali tego cudu i sprezentowali światu

stare, gockie plemię: die Goralen. Od archeologii jednak do XX wieku droga daleka. Są więc pewne trudności z kształtowaniem się nowego narodu, którego część zresztą i to znaczna, uważa w naiwności swojej, że należy poprostu do pola-

ków i Polski. Na pierwszy plan wysuwa się sprawa języka. Gramatyki góralskiej nie ma, ani nigdy nie będzie, przy największych nawet staraniach docentów niemieckich, niedościgłych w udowodnieniu nonsensów. Jest jednak literatura z Kazimierzem Tetmajerem na czele. Jego to właśnie „Skalne Podhale” stało się klasycznym podręcznikiem „języka góralskiego” i służy w szkołach nauczycielom, głowiącym się, jak rozwikłać ten nowy w Europie problemat lingwistyczny. Wzór, trzeba przyznać jest piękny i nikt w Polsce nie będzie biadał, jeżeli górale na Tetmajerze powrócą do swojej, zaniedbywanej ostatnio, a tak charakterystycznej gwary, która wraz z całą góralszczyzną porывała nie tylko polskiego poetę Tetmajera, ale i Witkiewicza, Chałubińskiego, Stryjeńskiego i wielu, wielu innych. Bo może w żadną inną część Polski nie włożyli polacy tyle miłości co w Podhale. Tak wyglądałaby sprawa z naszego stanowiska. Ze strony przeciwnej rzecz przedstawia się jednak inaczej.

Można przecież wykazać, że Tetmajer, jako „stamdeutsch” wyczuł gotów w górach i położył podwaliny pod powrót spoliczającego narodu góralskiego do wielkiej rodziny germańskiej. Legenda w ten sposób zostałaby dopełniona i wyglądałaby tak: W czasach zalewu słowian na germańskie obszary Wisły i Odry pozostało w Tatrach szlachetne plemię gockie. Przez długie wieki cierpiało ucisk polaków, trzymając się dumnie i mężnie swego starodawnego obyczaju. Kiedy w wieku XIX było już na skraju całkowitego wynarodowienia, pojawił się potomek rodziny niemieckiej, który wydobył z poniewierki starodawny język góralski i spisał go w dziełach literatury, wbrew polskiej polityce i propagandzie. Wygnane ze szkół jego książki wydobyto z ukrycia podczas zajęcia obszaru nadwiślańskiego przez Niemcy, które narodowi góralskiemu przywróciły jego prawo do samostnej kultury i wolnego bytu.

N a d w o r n y p o e t a

Podczas uroczystości odbytych w Londynie z racji zacieśnienia przyjaźni angielsko-rosyjskiej nadworny poeta John Masefield napisał Ode do Czerwonej Armii. Muzykę do tego utworu skomponował Arnold Bax. Rzecz została wykonana w Albert Hall. Czy się podobała, brak świadectw. Anglia ma wiele powodów, aby się zachwycać czerwoną armią i dawać wyraz zachwytom. Szacunek dla niej nie jest zresztą sprawą ściśle angielską, bo męstwo jej bezsprzeczne i poświęcenie podziwia chyba cały świat. Inna rzecz poeta i oda. Zjawisko tego rodzaju wywołać musi wśród nas polaków pewne zakłopotanie, poza bowiem Trembeckim, nienazbyt czczonym nie mieliśmy w lite-

raturze nikogo, kłoby „opiewał” moźnych tego świata. W złej pamięci natomiast mamy urzędowych piewców samodziernawnej Rosji z Dzierżawinem na czele i kiedy na świecie brzmia urzędowe fanfary, przypomina nam się poemat na „uśmierzenie polaków”. Ciekawa rzecz czy też jakiś poeta angielski i w ogóle zachodni potrudził się nad trybutem krwi płaconej przez Polskę z taką szczodrością dla sprawy Zachodu a więc i Imperium Brytyjskiego. Nie przemawia przez nas żadna zardość ani osławiona polska megalomanja i nie pretendujemy do ód ani do Albert Hallu a tyll do jakiegoś znaku, że sumienie świata czuwa, do strzega i rozróźnia.

R a s i z m

W Królewskiej Hucie odbyło się spotkanie dwu drużyn piłkarskich, wchodzących w skład niemieckiej ligi. Z jednej strony wystąpił klub B.S.V. Bismarkhütte w następującym składzie: Ksöll, Liłyński, Garbarczyk, Szatan, Wiczorek, Chmiel,

Kulik, Piątek, Sekuła, Barański i Niegas. W drugiej drużynie grali: Brom, Dziwisz, Niesnerger, Dzieląg, Andrzejewski, Fica, Keida, Moryś, Gajda, Olsza, Włodarz. Drużyna ta nazywała się Germania. Ktoś tu dostał bzika, to pewne.

F r e d r o

W Krakowie powstał nowy zespół teatralny z siedzibą w sali „Starego Teatru”. Zadebiutować ma, z polskiego repertuaru „Ślubami panińskimi” Fredry. Nie ma potrzeby komentować „zasadniczo” tego wypadku. Pogromowa polityka kulturalna Niemiec na terenie Polski należy do poczynań historycznie przesądzonych i nic ją nie uratuje od upadku. Nic też nie zmaże z niej hańby a cała ponura prawda o tym, co rządy niemieckie poczęły z kulturą polską w XX wieku zachodniej ery wyjść musi na jaw z Fredrą czy pomimo Fredry. Zabawny jest jednak wybór tego a nie innego komediopisarza przez urząd propagandy, destylujący skrupulatnie, jaką też strawę duchową można dać polakom bez złamania linii, zmierzającej do odbicia narodowego ducha a z równoczesnym wykazaniem się na zewnątrz i wewnątrz, że w Polsce rozkwita swoista tubylicza kultura pod opieką i obroną Niemiec. Dla chłopów, jak pamiętamy, wybrano dożynki. Inteligencję uraczono Fredrą, wyrazicielem i piewcą zamkniętego światka wiejskiej szlachetczyny. Dożynki są niewątpliwie pięknym obchodem ludowym a Fredro uzdolnionym i

miłym polskiemu uchu autorem. Podobnie jednak jak chłopów nie uspią krakowiaki i oberki, tak i inteligencja nie wpadnie w letarg pod wpływem fredrowskiego wiersza. Dziwne i śmieszne zarazem jest to marzenie niemieckie o narodzie polskim, potulnym, nabożnym i ograniczonym, psutym z jednej strony przez przewrotnych żydów, z drugiej, sprowadzanym na manowce przez klikę fanstycznych inteligentów, żądnych wpływu i władzy. Rozumiemy wygodę tego rodzaju marzeń, ale musimy stwierdzić, że zaszczytu niemieckim głowom nie przynoszą. Fantastyczność ich jest bowiem tak olbrzymia i oczywista, że wobec niej my, szaleńcy i irrealiści, wyznający takich fantastów, jak Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Wyspiański wychodzimy na naród trzeźwy i pełny poczucia rzeczywistości. Irrealizm jest bowiem tylko cechą, skłonnością umysłu polskiego, który potrafi nim władać nie tracąc miary i równowagi i nie spuszczając z oka narodowego i ludzkiego interesu, — irrealizm niemiecki jest obłądem, wykoszlawiającym myśl ludzką i prowadzącym naród niemiecki do katastrofy.

K a t y Ń

Zajęcie przez wojska rosyjskie obszaru na którym znajduje się pogrobowisko katyńskie, stało się powodem do wystąpień propagandowych ze strony rosyjskiej, przypominających żywo cały teatr oburzenia rozegrany dokoła Katynia przez Niemców. Pod niektórymi względami rosjanie zdystansowali Niemców, urządziwszy przed mogiłami defiladę czerwonych wojsk i wystawiwszy honorowy posterunek. Pod innymi nią dociągnęli, zaniechawszy dopuszczenia do grobów przedstawicieli już nie Polski ale, chociażby niezainteresowanych narodów, — Jest coś niewymownie potwornego w sarabandzie wyprawianej przez Niemcy i Rosję nad grobami wymordowanych najhaniebniej polaków. Z naszej strony możemy powiedzieć tylko jedno: chcemy wiedzieć prawdę o Katyniu. Mamy głębokie przekonanie, że prawda ta jest wiadoma rządowi rosyjskiemu w całej rozciągłości i wszystkimi szczegółami. Dopóki nie zostanie wykrztuszona i podana do wiadomości naszej i całego świata w sposób przekonywujący, musimy uważać defilady, mowy, nabożeństwa i warty za dal-

szą obelgę, wyrządzoną nie tylko naszej godności, ale naszemu rozumowi, naszemu sumieniu, naszej duszy. Niema pomiędzy narodami spraw nie do wyrównania. Droga do niego prowadzi jednak przez szczerze ustalenie choćby jak przykrego stanu rzeczy. Aby być szczerym, trzeba jednak uznać człowieka w drugim. Nic z tego wszystkiego w stosunkach polsko - rosyjskich. Nic zatym i w perspektywie głoszonego przez sowiety nowego świata. Spór polsko - sowiecki nie jest sporem o granice. Nie jest sporem o taki czy inny skład rządu. Jest czymś więcej. O pojmowanie człowieka i świata. Polaków poległych w Katyniu będziemy uważać i uważamy za najlepszych synów Polski. Kiedy jednak słyszymy, że Rosja, narówni z Niemcami nazywa ich „bohaterami”, stygnie nam krew w żyłach i pytamy: Kto ich w takim razie zamordował, bo przecież nie popełnili samobójstwa. Dość tej gry. Czekamy na akt prawdziwej odwagi przyznania się do winy. Jeżeli nie nastąpi, nie pozostaje nam nic innego, jak prosić Boga o następną wojnę.

Wspomnienie i komentarz

Jednoaktowy dramat J. Czechowicza, „Czasu jutrzeznego”, przechodził koleje bardzo znamienne dla atmosfery kulturalnej przedwojennej Warszawy. Wydrukowano go na dwa lata przed wojną w mało poczytnym piśmie literackim, a już to samo, że mieścił się w numerze poświęconym Piłsudskiemu, starczyło, by władcy „kulturalnego” Olimpu Warszawy nie dostrzegli jego obecności. A były to właśnie czasy, kiedy wiele rozprawiano na temat „wzmoczenia” naszej produkcji dramatycznej. Wyznaczano nawet nagrody, które dostawały się zazwyczaj zręcznym skrybom teatralnym. Któżby jednak raczył dostrzec takie małe jednoaktowe lichy, tak jakoś niepodobne do niczego, co cieszyło się powszechnym mirem i uznaniem.

Jakimś jednak dziwnym zbiegiem okoliczności trafił dramacik Czechowicza na deski Teatru Nowego, gdzie wystawiono go w honorowym towarzystwie, ale bynajmniej nie z tą pieczołowitością, na jaką zasługiwał. „Zrobiono” go na marginesie. Ut aliquid... A szanowna krytyka warszawska, która musi się jeszcze doczekać swej monografii, by nie poszły w niepamięć jej głupstwa i świństewka, otóż owa to wielce szanowna krytyka warszawska zatrzęsała się niemal od abominacji. Zawyły brytany krytyczne, zaszczekały pieski; i z rozczulającą zgodnością orzeczone, że wszystko to są bzdury. Rzecz przytym arcyznamienna. Z takim samym lekceważeniem odniósł się do sztuki Czechowicza t.zw. obóz młodych, któremu również nie przypadła ona do gustu, ile że nie była zrobiona według obowiązujących wzorów. Bo awangardy też lubią myśleć wzorami, byle modnymi. A tu chodziło o rzeczy całkiem niemożliwe. Jak za dobrych romantycznych czasów mówiono o Polsce, o „postawie moralnej”... Nie, to nie do przyjęcia! — Dopiero po tragicznej śmierci poety zaczęto wspominać, że coś w tym utworze było proroczego niemal, że nie wszystko tak się w nim składało bez ładu i sensu, jak się to warszawskim konserwom wydawać raczyło. Cichy triumf — zagrobowy.

Trudno jednak powiedzieć, by go teraz lepiej zrozumiano i oceniono, gdyż dla ogółu utwór ten stał się niedostępny. A przecież wart jest on uwagi i zrozumienia. Bez przesady powiedziec bowiem można, iż jedyny to utwór dramatyczny dwudziestolecia, który nawiązać zdołał do zerwanej już prawie nici wielkiego wizyjnego dramatu polskiego. Artystycznie biorąc posługuje się on techniką dramatyczną niezmiernie oryginalną, rezygnuje bowiem z przeprowadzenia perypetii dramatycznych drogą zwyczajnej „akcji”, a czyni to zapomocą ściśle związanych ze sobą myślowo wizji-snów, w których odbywa się narastanie dramatycznej przemiany. Nie są to li tylko liryczne scenki, związane ze sobą jedynie rytmem całości, jak to widzimy u Micińskiego, lecz każda z scen tych jest krokiem naprzód rozwijającego się stawania dramatycznego, wiodącym ku dramatycznemu przełomowi. Zasada „łuku” dramatycznego zachowana została tu jak w tragedii greckiej, tylko z innego budulca łuk ten poeta zbudował. I właśnie oryginalność i spistość tej architektoniki stanowi jeden z głównych walorów „Czasu jutrzeznego”, któ-

ry w pełni ocenić można dopiero wówczas, gdy przypomni się, z jakim trudem konstruował nawet Wyspiański ciągłość swych wizji dramatycznych, i że Miciński posługiwał się nietylko architektoniką wizji, ile raczej rytmizacją ich mnogości, graniczącej czasem z chaosem. Może też dlatego, że aby znaleźć odpowiednie tertium comparationis, musiano, choćby mimowiednie, uciekać się do porównania z dziełami tych dwóch poetów, mówiono o młodopolskim profilu tego utworu. Byłoby to właściwie niezmiernym stwierdzeniem, że choć niewielki rozmiarami, utwór Czechowicza mieści się na tej samej linii, która wyznacza rozwój „wizyjnego”, jak to określał Wyspiański, dramatu polskiego. O przynależności do Młodej Polski tak to nie rozstrzyga, jak Konrad „Wyzwolenia” nie rozstrzyga o przynależności Wyspiańskiego do romantyzmu.

Ale oczywiście panowie z pierwszych rzędów premierowych nie lubią się zastanawiać. Natomiast lubią, i to bardzo, czuć się wyższymi od autora. Nie mogą orientować się w artystycznej wartości „Czasu jutrzeznego”, tym pewniejsi poczuli się sądząc ideową zawartość utworu. Bo i cóż w tym nowego? Znowu Polska? Znow jakieś ideologie? Znow czarownicowe sny o nowym świecie? Można być pewnym, że gdyby autor „Dnia jak codzień” napisał był utwór na temat nieuchronnego zwycięstwa proletariatu, ochrzczonego go zapewne bolszewikiem, ale wziętoby go na serio. Ale jakże brać na serio kogoś, komu znow śni się Polska, i to na „piramidalnych słupach światłości”? Te „słupy światłości” do szalu doprowadziły n.p. proroka „Wiadomości Literackich”. Nie, czymś podobnym żaden szanujący się (i szanowny) poeta z pod znaku którejs tam z kolei generacji awangardy nie śmie się już parać. To nie odpowiada „wymogom chwili”, to traci paszeizmem, młodopolszczyzną, a kto wie nawet czy nie samym romantyzmem. I rzecz więcej niż godna uwagi, że takie właśnie negatywne stanowisko zajęli zgodnie wszyscy niemal, i ci po lewicy, i ci po prawicy, zarówno weterani i „chluby” warszawskiego piśmiennictwa, jak i najbardziej niewypierzone jego pisklęta. I nie było to przypadkiem! Bynajmniej! Nigdy chyba poeta „Czasu jutrzeznego” nie poczuł, jak bardzo jest osamotniony wśród swoich, jak nazajutrz po premierze swego dramatu.

Aż przyszedł czas „gromu i burzy”, wręcz proroczco przewidziany przez poetę, i przypomniał prawdę, o której zdołano zapomnieć, prawdę, stanowiącą oś wewnętrzną „Czasu jutrzeznego”: ideę ofiary. A zdawało się już niemal czymś pewnym, że bez ofiary żyć można i żyć należy. Pomyłono się jednak. Srodcze zbudzono nas z sielankowego snu i srodcze nas wciąż jeszcze budzą. Dziś stoimy tylko ofiarą. Dlatego też dziś lepiej może zrozumiany będzie ten utwór, aniżeli w latach przedwojennych, kiedy dostrzegano w nim aż śmieszne w swej powadze widzenie eschatologiczne (wiadomo było przecież, że Sądów Ostatecznych poprostu — niema). I to skłania nas do — przypomnienia go.

7II
428

1944

an-

die